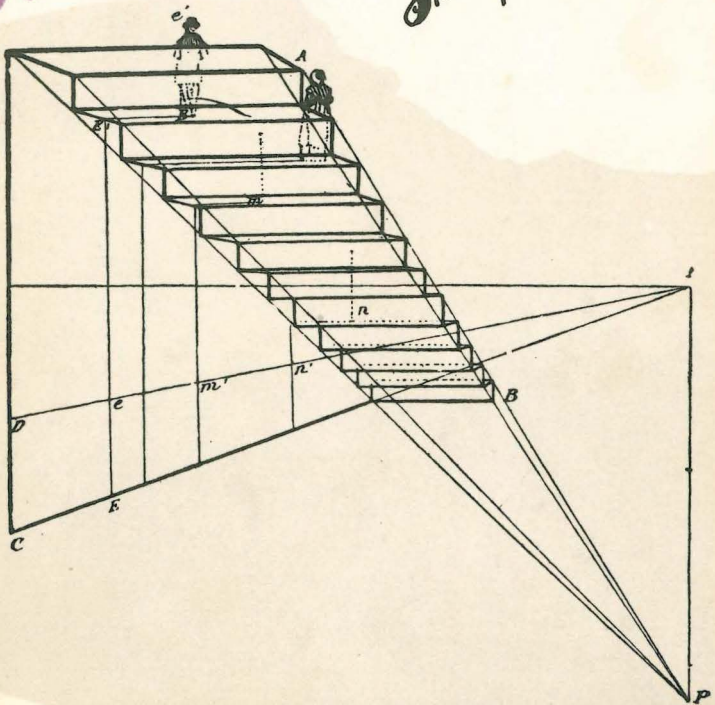


ARBO EFGHIA

CZYTELNIK

Patrick Modiano
Ulica Ciemnych
Sklepików



Patrick Modiano urodził się w 1945 roku, debiutował w 1968; za „La Place de l'Etoile” („Plac Gwiazdy”) otrzymał dwa wyróżnienia: Prix Roger Nimier (1968) i Prix Fénelon (1969), za „Boulevards de ceintures” („Bulwary okrężne”) — nagrodę Akademii Francuskiej w 1972 r. Największe uznanie krytyki i Prix Goncourt 1978 przyniosła mu szósta książka, „Ulica Ciemnych Sklepików”. Na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia nazwisko Modiana często pojawia się we francuskiej prasie literackiej.

„W okresach naprawdę dramatycznych — mówi w jednym z wywiadów — niektórym autorom udaje się napisać coś więcej niż powieść, coś, co jest dramatem pokolenia... Cóż pozostaje pisarzom mojej generacji? Kultywowanie naszych fantazmów, świat przeżyć osobistych”. W książkach Modiana — szczególnie zaś w „Ulicy Ciemnych Sklepików” — ów świat przeżyć osobistych wiąże się z latami wojny i okupacji, które autor odtworza we wspomnieniach swoich bohaterów, wykazując przy tym niezwykłą wprost „intuicję retrospektywną”.

Patrick Modiano
Ulica Ciemnych
Sklepików

A
B
C
D
E
F
G
H
I
J
K
L
M
N
O
P
Q
R
S
T
U
V
W
X
Y
Z
Ä
Ö
Ø

Patrick Modiano

1234567890

~~78901234567~~

678901234567890123456789012

Ulica Ciemnych Sklepików

Przełożyła: Eligia Bakowska

Czytelnik • Warszawa 1981

Tytuł oryginału francuskiego
Rue des Boutiques Obscures

© Editions Gallimard, 1978

Obwolutę, okładkę i kartę tytułową
projektował
Jacek Przybyszewski

© Copyright for the Polish edition
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”
Warszawa 1981

ISBN 83-07-00468-3

Rudy'emu
Mojemu Ojcu

I

Jestem nikim. Tego wieczora na tarasie kawiarni jestem tylko niewyraźną sylwetką. Czekam, aby ustał ulewny deszcz, który zaczął padać w chwili, gdy odszedł Hutte.

Przed paru godzinami spotkaliśmy się po raz ostatni w lokalu Agencji. Hutte jak zwykle usadowił się za masywnym biurkiem, ale nie zdjął płaszcza, co przypominało, że naprawdę wyjeżdża. Usiadłem naprzeciwko, w skórzanym fotelu przeznaczonym dla klientów. Lampa z opalizującego szkła rzucała ostre światło, które mnie oślepiało.

— No i tak, Guy... Skończone... — z westchnieniem powiedział Hutte.

Plik aktów leżał porzucony na stole. Może dotyczyły sprawy tego ciemnowłosego człowieczka o wystraszonej spojrzeń i nalanej twarzy, który zlecił nam śledzenie swojej żony. Popołudniami spotykała się w pokojach umeblowanych przy ulicy Vital, w pobliżu avenue Paul-Doumer, z innym ciemnowłosym człowieczkiem o nalanej twarzy.

Hutte w zamyśleniu gładził szpakowatą brodę, krótką, ale zarastającą mu policzki. Jego duże, jasne oczy błędziły w przestrzeni. Na lewo od biurka stało

wyplatane krzesło, na którym siadywałem w godzinach pracy. Za plecami Huttego połowę ściany zajmowały półki z ciemnego drzewa: ustawione tam były tomy Bottinów i wszelkiego rodzaju roczniki z ostatnich lat pięćdziesięciu. Hutte często mi powtarzał, że są to niezastąpione narzędzia pracy, z którymi nigdy by się nie rozstał. I że te Bottiny i roczniki stanowią najcenniejszą i najbardziej przejmującą bibliotekę, jaką człowiek może zgromadzić, bo na ich kartach zarejestrowano mnóstwo osób, rzeczy, zaginionych światów, którym już tylko te księgi dają świadectwo.

— Co pan zrobi z tymi wszystkimi Bottinami? — spytałem wskazując szerokim gestem rzędy półek.

— Zostawiam je tutaj, Guy. Zatrzymuję lokal.

Rzucił szybkie spojrzenie dokoła. Przez otwarte na oścież drzwi do przyległego małego pokoju widać było wytartą pluszową kanapę, kominek i lustro, w którym odbijały się szeregi roczników i Bottinów, i twarz Huttego. W tym pokoju często czekali nasi klienci. Perski dywan chronił parkietową posadzkę. Na ścianie koło okna wisiała ikona.

— O czym pan myśli, Guy?

— O niczym. Więc zatrzymuje pan lokal?

— Tak. Od czasu do czasu będę przyjeżdżał do Paryża i Agencja będzie mi służyć za pied-à-terre.

Podsunał mi papierośnicę.

— Wydaje mi się, że będzie mniej smutno, jeśli Agencja zostanie tak, jak jest.

Przeszło osiem lat pracowaliśmy razem. Założył to prywatne biuro wywiadowcze w roku 1947 i przede mną zatrudniał w nim wiele innych osób. Naszym zadaniem było dostarczanie klientom tego, co Hutte nazywał „informacjami towarzyskimi”. Wszystko odbywało się, jak lubił powtarzać, wśród „ludzi z towarzystwa”.

— Sądzi pan, że w Nicei będzie panu dobrze?

— Ależ tak.

— Nie będzie się pan nudził?

Wypuścił kłęb dymu z papierosa.

— Kiedyś trzeba wreszcie pójść na emeryturę, Guy.

Podniósł się ciężko. Ważył chyba ponad sto kilogramów i miał z metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu.

— Mój pociąg odchodzi o dwudziestą pięćdziesiąt pięć. Jeszcze zdążymy się czegoś napić.

Poszedł pierwszy korytarzem prowadzącym do przedpokoju, który ma niezwykle, owalny kształt, a ściany wypłowiałej piaskowej barwy. Czarna teczka, tak wypchana, że nie można jej było dopiąć, leżała na ziemi. Hutte wziął ją i niósł podtrzymując drugą ręką.

— Nie ma pan bagażu?

— Wszystko wysłałem wcześniej.

Hutte otworzył drzwi wejściowe, a ja zgasilem światło w przedpokoju. W klatce schodowej chwilę się zawahał, nim zamknął drzwi, i na ten metaliczny odgłos serce mi się ścisnęło. Oznajmiał on finał długiego okresu w moim życiu.

— Daje to człowiekowi w kość, prawda, Guy? — powiedział Hutte i wyjął z kieszeni płaszcz chustkę, aby wytrzeć czoło.

Na drzwiach wisiała jeszcze prostokątna tabliczka z czarnego marmuru, a na niej napis złożonymi błyszczącymi literami:

C. M. Hutte

Prywatna Agencja Wywiadowcza

— Zostawiam i ją — rzekł Hutte, po czym przekręcił klucz w zamku.

Poszliśmy przez avenue Niel do placu Pereire.

Ściemniało się i chociaż zbliżała się zima, powietrze było łagodne. Na placu Pereire usiedliśmy na tarasie kawiarni „Hortensias”. Hutte lubił tę kawiarnię, bo krzesła były tam żłobkowane, „jak dawniej”.

— A pan, Guy? Co będzie z panem? — zapytał łyknąwszy wódki z wodą.

— Ja? Trafiłem już na ślad.

— Na ślad?

— Tak. Ślad mojej przeszłości...

Powiedziałem to pompatycznie, co wywołało jego uśmiech.

— Zawsze wierzyłem, że kiedyś odnajdzie pan swoją przeszłość.

Tym razem był poważny i to mnie wzruszyło.

— Ale widzi pan, Guy, zastanawiam się, czy to naprawdę warto...

Zamilkł. Co miał na myśli? Własną przeszłość?

— Daję panu jeden z kluczy do Agencji. Będzie pan mógł tam zajść od czasu do czasu. Sprawiliby mi to przyjemność.

Podał mi klucz, który wsunąłem do kieszeni w spodniach.

— I niech pan telefonuje do mnie do Nicei. Niech mnie pan informuje... w sprawie swojej przeszłości...

Wstał i uściśnął mi rękę.

— Chce pan, żebym pana odprowadził na dworzec?

— O nie... nie... To takie smutne...

Wyszedł z kawiarni zamaszycie, nie odwracając się, a ja uczułem w sobie pustkę. Ten człowiek wiele dla mnie znaczył. Zastanawiam się, co bez niego, bez jego pomocy stałoby się ze mną wtedy, przed dziesięciu laty, kiedy nagle utraciłem pamięć i po omacku błądziłem we mgle. Przejął się moim losem i nawet postarał się przez swoje rozległe stosunki, abym uzyskał stan cywilny.

— Proszę — powiedział wtedy podając mi dużą

kopertę z dowodem osobistym i paszportem. — Nazywa się pan teraz Guy Roland.

I ten detektyw, do którego udałem się, aby swoich talentów użył do wyszukania świadków albo śladów mojej przeszłości, dodał:

— Drogi panie „Guy Roland”, od dziś proszę nie patrzeć w przeszłość, lecz myśleć o teraźniejszości i przyszłości. Proponuję panu współpracę...

Poczuł do mnie sympatię, bo i sam — jak dowiedziałem się później — zagubił swoje ślady i cały kawał jego życia w jednej chwili poszedł na dno, tak że nie zachowała się chociażby najcieńsza nić przewodnia, najślabsza więź, która łączyłaby go jeszcze z przeszłością. Cóż bowiem było wspólnego między tym starym zmęczonym człowiekiem w wytartym płaszczu, z wielką czarną teczką, który odchodził w noc, a znanym niegdyś tenisistą, pięknym, jasnowłosym bałtyckim baronem Konstantym von Hutte?

II

— Halo? Czy pan Paul Sonaszydze?

— Tak, słucham.

— Tu Guy Roland... Wie pan, ja...

— Ależ owszem, wiem! Czy moglibyśmy się zobaczyć?

— Kiedy pan sobie życzy...

— Na przykład... dziś wieczorem około dziewiętej... ulica Anatole-de-la-Forge. Czy to panu odpowiada?

— Oczywiście.

— Oczekuję pana. Do zobaczenia wkrótce.

Gwałtownie odłożył słuchawkę, a mnie pot spływał ze skroni. Wypiłem przedtem dla kurażu kieliszek koniaku. Dlaczego czynność tak błaha jak wykręcenie paru cyfr na tarczy telefonu budzi we mnie tyle oporu i lęku?

W barze przy ulicy Anatole-de-la-Forge nie było klientów, a on, w zwykłym ubraniu, siedział za kon- tuarem.

— Dobrze pan trafił — rzekł. — Jestem wolny w każdą środę wieczorem.

Podszedł do mnie i wziął mnie pod ramię.

— Dużo o panu myślałem.

— Dziękuję.

— Wie pan, bardzo się tą sprawą przejąłem...

Chciałem zauważyć, że chyba nie zadał sobie dla mnie zbyt wiele trudu, ale nie znajdowałem odpowiednich słów.

— Doszedłem w końcu do wniosku, że musiał się pan obracać w kręgu człowieka, którego w jakimś okresie często widywałem... Ale kto to był?

Pokiwał głową.

— Nie mógłby pan naprowadzić mnie na trop?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo nic nie pamiętam, proszę pana.

Wydało mu się, że żartuję, więc jak gdyby chodziło o zabawę albo zagadkę, powiedział:

— No dobrze. Sam sobie z tym poradzę. Daje mi pan wolną rękę?

— Jeżeli tylko pan chce...

— A więc zabieram pana na kolację do mego przyjaciela.

Przed wyjściem szybkim ruchem wyłączył licznik elektryczny i zamknął masywne drewniane drzwi, obracając wielokrotnie klucz w zamku.

Jego wóz stał na przeciwległym chodniku. Był czarny, nowy. Uprzejmie otworzył drzwiczki.

— Ten mój przyjaciel prowadzi bardzo miłą restaurację pomiędzy Ville-d'Avray a Saint-Cloud.

— I jedziemy aż tam?

— Tak.

Z ulicy Anatole-de-la-Forge wjechaliśmy na avenue de la Grande-Armée, a mnie ogarnęła nagła pokusa, żeby wysiąść z samochodu. Jechać aż do Ville-d'Avray wydawało mi się czymś ponad siły. Ale musiałem zdobyć się na odwagę.

Do chwili gdy znaleźliśmy się przy Porte Saint-Cloud, walczyłem z panicznym strachem, który ścisnął mnie za gardło. Prawie nie znałem tego Sonaszydze. Może wciąga mnie w pułapkę? Ale pomału, słuchając go, uspokajałem się. Opowiadał o różnych etapach swojego życia zawodowego. Najpierw pracował w nocnych lokalach rosyjskich, następnie u Langer'a, w ogródkowej restauracji na Polach Elizejskich, potem w hotelu „Castille” przy ulicy Cambon i w paru jeszcze innych zakładach, aż objął ten bar przy ulicy Anatole-de-la-Forge. W każdym z tych miejsc spotykał Jeana Heurteur, przyjaciela, do którego właśnie mnie wiozł, tak że przez około dwadzieścia lat tworzyli nierozłączną parę. Heurteur także niejedno pamiętał. We dwójkę na pewno rozwiążą zadaną przeze mnie „zagadkę”.

Sonaszydze prowadził wóz bardzo ostrożnie, toteż dopiero w trzy kwadranse przybyliśmy na miejsce.

Rodzaj bungalowu, którego lewą stroną osłaniała wierzba płacząca. Po prawej dojrzałem kępę krzewów. Sala restauracyjna była obszerna. Z jasno oświetlonej głębi siedł ku nam jakiś człowiek. Wyciągnął do mnie rękę.

— Bardzo mi przyjemnie. Jean Heurteur.

Po czym zwracając się do Sonaszydzego:

— Witaj, Paul.

Zabrał nas w głąb sali. Stolik był nakryty na trzy osoby. Pośrodku stał bukiet kwiatów.

Wskazał jedno z sięgających do podłogi okien:

— Mam klientów w drugim bungalowie. Uczta weselna.

— Pan nigdy tutaj nie był? — spytał mnie Sonaszydze.

— Nigdy.

— Jean, pokaż panu, jaki stąd widok.

Heurteur idąc przodem zaprowadził mnie na werandę, która górowała nad stawem. Z lewej strony przez wypukły mostek w chińskim stylu można było dostać się do bungalowu na drugim brzegu stawu. Za oszklonymi drzwiami w jaskrawym świetle zobaczyłem przesuwające się pary. Tańczono. Dochodziły stamtąd strzępy muzyki.

— Nie ma ich dużo — powiedział — i wydaje mi się, że to wesele skończy się orgią.

Wzruszył ramionami.

— Powinien pan przyjechać tutaj w lecie. Kolacje jada się na werandzie. Jest bardzo przyjemnie.

Wróciliśmy do sali restauracyjnej i Heurteur zamknął oszklone drzwi.

— Przygotowałem dla panów skromną kolację.

Gestem zaprosił, abyśmy zajęli miejsca. Siedzieli przy sobie, naprzeciw mnie.

— Jakie wino pan lubi? — zwrócił się do mnie Heurteur.

— Wedle pańskiego uznania.

— „Château-petrus”?

— Jean, to świetna myśl! — zawołał Sonaszydze.

Usługiwał nam młody człowiek w białej kurtce. Światło kinkietu padało prosto na mnie i oślepiło mnie. Tamci byli w cieniu i zapewne posadzili mnie tak, ażeby lepiej mi się przyjrzeć.

— No i co, Jean?

Heurteur napoczął już swoją galantynę i od czasu do czasu rzucał na mnie przenikliwe spojrzenie. Był brunetem jak Sonaszydze i jak on farbował sobie włosy. Chropowata skóra, obwisłe policzki, wąskie wargi smakosza.

— Tak, tak... — zamruczał.

Mrużyłem oczy, bo raziło mnie światło. Nalał nam wina.

— Tak... tak... Zdaje mi się, że już pana widziałem.

— To prawdziwa łamigłówka — powiedział Sonaszydze. — A pan nie chce nas naprowadzić na ślad.

Nagle przyszła mu nowa myśl do głowy:

— Ale może wolałby pan już o tym nie mówić? Zachować incognito?

— Wcale nie — odpowiedziałem z uśmiechem.

Młody kelner podał nam nerkówkę cielecą.

— Jaki jest pański zawód? — zwrócił się do mnie Heurteur.

— Przez osiem lat pracowałem jako prywatny detektyw w Agencji C.M. Huttego.

Popatrzyli na mnie ze zdumieniem.

— Ale nie ma to żadnego związku z moją przeszłością. Więc proszę tego nie brać pod uwagę.

— Rzecz szczególna — odezwał się Heurteur, bacznie mierząc mnie wzrokiem — ale trudno by mi określić, w jakim pan jest wieku.

— Zapewne z powodu moich wąsów.

— Gdyby nie wąsy — rzekł Sonaszydze — może rozpoznalibyśmy pana od razu.

Wyciągnął rękę, kładąc mi płasko dłoń tuż poniżej nosa, aby zakryć wąsy, i zmrużył oczy jak portrecista przyglądający się modelowi.

— Im dłużej się panu przypatruję, tym bardziej nabieram przekonania, że należał pan do jakiejś grupy nocnych bywalców... — powiedział Heurteur.

— Ale kiedy to było? — spytał Sonaszydze.

— Och... dawno temu... Od wieków nie pracujemy już w nocnych lokalach, Paul...

— Myślisz, że to było jeszcze w okresie „Tanagry”?

Heurteur patrzył na mnie i jego spojrzenie stawało się coraz intensywniejsze.

— Przepraszam — rzekł do mnie. — Czy mógłby pan wstać na chwilę?

Wstałem. Mierzył mnie wzrokiem od góry do dołu i od dołu do góry.

— Ależ tak, przypomina mi pan któregoś z klientów. Pański wzrost... Poczekajcie...

Podniósł rękę i znieruchomiał, jak gdyby chciał uchwycić coś, co w każdej chwili może pierzchnąć.

— Poczekajcie... Poczekajcie... Tak, Paul, już mam...

Uśmiechnął się tryumfalnie.

— Może pan już usiąść...

Był różpromieniony. Przekonany, że to, co ma do powiedzenia, wywoła ogromne wrażenie. Ceremonialnie nalał wina Sonaszyszemu i mnie.

— Otóż to... Bywał pan zawsze w towarzystwie człowieka równie wysokiego jak pan... Może jeszcze wyższego... To nic ci nie mówi, Paul?

— Ale o jakich czasach mówisz? — zapytał Sonaszyszde.

— O czasach „Tanagry”, ma się rozumieć...

— Człowiek równie wysoki jak pan? — powtórzył Sonaszyszde. — W „Tanagrze”?

— Nie przypominasz sobie?

Heurteur wzruszał ramionami.

Teraz przyszła kolej Sonaszyszdego: i on uśmiechnął się tryumfalnie. Pokiwał głową.

— Przypominam sobie...

— A więc?

— Stiopa...

— Ależ tak. Stiopa...

Sonaszyszde zwrócił się ku mnie.

— Znał pan Stiope?

— Być może — odpowiedziałem ostrożnie.

— Na pewno... — rzekł Heurteur. — Często bywał pan ze Stiożą... Nie ma wątpliwości...

— Stioża...

Wnosząc ze sposobu, w jaki wymawiał je Sonaszydze, na pewno imię rosyjskie.

— To ten, co zawsze domagał się od orkiestry, żeby grała „Aławerdi” — powiedział Heurteur. — Taką piosenkę kaukaską...

— Czy pan to pamięta? — zapytał Sonaszydze ścisnąc mi bardzo mocno rękę w przegubie. — „Aławerdi”...

Zagwizdał tę melodię, oczy mu błyszczały. Ja również nagle się wzruszyłem. Wydało mi się, że ją znam. W tej chwili kelner, który podawał nam kolację, podszedł do Heurteura i coś mu wskazał w głębi sali.

Przy jednym ze stolików, w półcieniu, samotnie siedziała kobieta z głową wspartą na splecionych dłoniach. Miała na sobie bladoniebieską suknię. O czym myślała?

— To panna młoda.

— Co ona tam robi? — zapytał Heurteur.

— Nie wiem — odpowiedział kelner.

— Zapytałeś, czy sobie czegoś życzy?

— Nie. Nie. Niczego sobie nie życzy.

— A inni?

— Zamówił jeszcze dziesięć butelek „Krugga”.

Heurteur znowu wzruszył ramionami.

— Nic mnie to nie obchodzi.

Tymczasem Sonaszydze, który wcale nie zwrócił uwagi ani na pannę młodą, ani na ich słowa, powtarzał:

— No więc... Stioża... Przypomina pan sobie Stiożę?

Był tak podniecony, że w końcu odpowiedziałem

mu z uśmiechem, który w mojej intencji miał być tajemniczy:

— Tak, tak. Trochę...

Odwrócił się do Heurteura i uroczyście oznajmił:

— Ten pan przypomina sobie Stiopeę.

— Tak właśnie przypuszczałem.

Kelner w białej kurtce, z zakłopotaną miną, wciąż stał koło Heurteura.

— Proszę pana, wydaje mi się, że oni chcą zająć pokoje... Co robić?

— Miałem przecucie — rzekł Heurteur — że to wesele źle się skończy... No dobrze, chłopcze, niech robią, co chcą. Nie nasza sprawa...

W głębi sali panna młoda, teraz z założonymi rękoma, wciąż siedziała nieruchomo przy stoliku.

— Ciekawe, dlaczego siedzi tutaj sama — rzekł Heurteur. — Ale ostatecznie nic nas to nie obchodzi.

I machnął ręką, jak gdyby odpędzał muchę.

— Wróćmy do naszej sprawy — rzekł. — Więc i pan przypuszcza, że znał pan Stiopeę?

— Tak — szepnąłem niepewnie.

— Czyli że należał pan do tej samej paczki... Diabło wesołej paczki, co, Paul?...

— Ach...! Wszyscy już nie żyją — rzekł posępnie Sonaszydze. — Z wyjątkiem pana... Jestem uradowany, że udało się nam pana... pana „zlokalizować”... Należał pan do paczki Stiopey... Gratuluje... Były to czasy znacznie piękniejsze od obecnych; a przede wszystkim ludzie byli w lepszym gatunku...

— Przede wszystkim my byliśmy młodszy — zaśmiał się Heurteur.

— Kiedy to mogło być? — zapytałem z bijącym sercem.

— Jesteśmy z datami na bakier — odrzekł Sonaszydze. — W każdym razie to czasy przedpotopowe...

Nagle ogarnęło go przygnębienie.

— Zdarzają się dziwne zbiegi okoliczności — powiedział nagle Heurteur.

Wstał, podszedł do małego baru w rogu sali i przyniósł gazetę, przewręcił parę stron. Potem podał mi ją wskazując następującą notatkę:

Dnia 25 października zmarła w dziewięćdziesiątym drugim roku życia Maria de Rosen, o czym zawiadamiają córka, syn, wnuki, prawnuki oraz przyjaciele Georges Sacher i Stiopa de Diagoriew.

Uroczystość żałobna, po której nastąpi złożenie zwłok w grobowcu na cmentarzu Sainte-Geneviève-des-Bois, odbędzie się 4 listopada o godzinie 16 w kaplicy cmentarnej.

Nabożeństwo dnia dziewiątego za Marię de Rosen zostanie odprawione w cerkwi prawosławnej przy ulicy Claude-Lorrain 19, Paryż 75016.

Osobnych zawiadomień nie będzie.

— Więc Stiopa żyje? — powiedział Sonaszydze. — Pan się z nim widuje?

— Nie — odrzekłem.

— Ma pan słuszność. Trzeba żyć teraźniejszością. Jean, podaj nam coś do picia.

— Zaraz służę.

Od tej chwili zdawali się wcale nie interesować Stiopą i moją przeszłością. Ale było to już bez znaczenia, bo wreszcie trafiłem na jakiś ślad.

— Czy mógłby mi pan dać tę gazetę? — zapytałem z udaną obojętnością.

— Oczywiście — odpowiedział Heurteur.

Trąciliśmy się kieliszkami. Tak więc z tego, czym byłem kiedyś, pozostała tylko sylwetka w pamięci dwóch barmanów, w dodatku na wpół przysłonięta przez osobę jakiegoś Stiopy Diagoriewa, o którym

nic nie słyszeli „od czasów przedpotopowych”, jak wyraził się Sonaszydze.

— A zatem jest pan prywatnym detektywem? — zapytał Heurteur.

— Już nie. Mój szef przeszedł na emeryturę.

— A pan? Będzie pan pracował dalej?

Wzruszyłem ramionami w milczeniu.

— W każdym razie będzie mi bardzo miło znowu pana kiedyś zobaczyć. Proszę przyjść, ile razy będzie pan miał ochotę.

Wstał i kolejno podał nam rękę.

— Przepraszam... Spławiam was, ale muszę jeszcze zrobić rachunki... A w dodatku tamci... ta orgia...

Zrobił ruch w kierunku stawu.

— Do widzenia, Jean.

— Do widzenia, Paul.

Heurteur zamyślony patrzył na mnie. Bardzo powoli rzekł:

— Teraz, kiedy pan tak stoi, przypomina mi pan kogoś innego...

— Kogo pan ci przypomina? — zapytał Sonaszydze.

— Gościa, który co wieczór wracał bardzo późno, kiedy pracowaliśmy w hotelu „Castille”...

Z kolei Sonaszydze zlustrował mnie od stóp do głów.

— Ostatecznie możliwe — powiedział — że jest pan dawnym gościem hotelu „Castille”.

Uśmiechnąłem się z zakłopotaniem.

Sonaszydze wziął mnie pod ramię i przeszliśmy przez salę restauracyjną, gdzie panował jeszcze większy mrok niż w chwili, gdyśmy się tu zjawili. Przy stoliku nie było już oblubienicy w jasnoniebieskiej sukni. Na dworze usłyszeliśmy urywki muzyki i śmiechy dochodzące z drugiego brzegu stawu.

— Czy zechciałby pan — spytałem Sonaszydze-
go — przypomnieć mi, o jaką to piosenkę dopominał
się zawsze ten... ten...

— Stiopa?

— Tak.

Zagwizdał pierwsze takty. Potem przerwał.

— Zobacz się pan ze Stiopą?

— Być może.

Ścisnął mnie bardzo mocno za ramię.

— Proszę mu powiedzieć, że Sonaszydze często go
wspomina.

Wciąż jeszcze mi się przyglądał.

— Jean ma chyba słuszność. Był pan gościem ho-
telu „Castille”... Niech pan próbuje sobie przypom-
nieć... hotel „Castille”, ulica Cambon...

Odwróciłem głowę i otworzyłem drzwiczki samo-
chodu. Ktoś skulony siedział na przodzie, z czołem
wspartym o szybę. Nachyliłem się i poznałem pannę
młodą. Spała, a jej bladoniebieska suknia podkasana
była aż po uda.

— Trzeba ją stąd wy dostać — rzekł Sonaszydze.

Potrząsałem nią lekko, ale nie obudziła się. Wtedy
wziąłem ją wpół i z trudem wyciągnąłem z wozu.

— Mimo wszystko nie można zostawić jej na uli-
cy — powiedziałem.

Zaniósłem ją do baru. Jej głowa obijała mi się po
ramieniu, jasne włosy muskały mi szyję. Jej ostre
perfumy coś mi przypominały. Ale co?

III

Była godzina za piętnaście szósta. Poprosiłem tak-
sówkarza, żeby czekał na mnie w uliczce Charles-
-Marie-Widor, a sam poszedłem na Claude-Lorrain,
gdzie znajduje się cerkiew.

Jednopiętrowy budynek, w oknach lekkie zasłony. Po prawej bardzo szeroka aleja. Stałem na przeciwnym chodniku.

Najpierw zobaczyłem dwie kobiety, które zatrzymały się przy drzwiach budynku, od strony ulicy. Jedna była brunetką, miała krótkie włosy i czarny wełniany szal; druga, mocno umalowana blondynka, zwracała uwagę popielatym kapeluszem w muskieterskim stylu. Dosłyszałem, że mówią po francusku.

Z taksówki ociężałe wysiadł tęgi starzec, zupełnie łysy; pod skośnymi oczyma Mongoła miał grube worki. Zapuścił się w aleję.

Z lewej strony, od ulicy Boileau, zbliżała się ku mnie grupa złożona z pięciu osób. Na czele dwie kobiety w wieku dojrzałym prowadziły pod rękę starca tak białego i tak kruchego, jak gdyby zrobiony był z gipsu. Za nimi szli dwaj mężczyźni podobni do siebie, zapewne ojciec i syn, obaj w dobrze skrojonych szarych garniturach w prążki, ojciec wyglądał na eks-donżuana, syn miał jasne, falujące włosy. Przy tej grupie niemal natychmiast zahamował samochód, z którego wysiadł jeszcze jeden stary człowiek, wyprostowany, o szybkich ruchach, w lodenowym płaszczu; siwe włosy miał ostrzyżone na jeża. Wyglądał na wojskowego. Czy to był Stiopa?

Wszyscy weszli do cerkwi bocznymi drzwiami, od strony alei. Chciałem pójść za nimi, ale moja obecność tutaj mogła zwrócić ich uwagę. Coraz bardziej bałem się, że nie uda mi się zidentyfikować Stiopy.

Nadjechał jeszcze jeden samochód i zatrzymał się trochę dalej, po prawej. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni, a następnie kobieta. Jeden z mężczyzn był bardzo wysoki i miał na sobie granatowe palto. Przeszedłem przez jezdnię i czekałem na nich.

Zbliżają się, zbliżają. Mam wrażenie, że ten wysoki, zanim wraz z dwiema towarzyszącymi mu oso-

łami skręcił w aleję, uważnie na mnie popatrzył. Za witrażami okien wychodzących na aleję płoną świece. On pochyła się w drzwiach, znacznie dla niego za niskich, a ja jestem pewny, że to Stioipa.

Silnik taksówki pracował, ale przy kierownicy nie było nikogo. Jedne drzwiczki pozostały uchylone, jak gdyby kierowca miał lada chwila wrócić. Gdzie on się podział? Rozejrzałem się dokoła i postanowiłem obejść zwartą grupę domów, aby go poszukać.

Znalazłem go w pobliskiej kawiarni na Chardon-Lagache. Siedział przy stoliku przed kuflem piwa.

— Długo pan jeszcze chce tu zostać? — zapytał.

— Ze dwadzieścia minut.

Blondyn z białą cerą, pyzaty, z niebieskimi wypukłymi oczyma. Chyba jeszcze nigdy u nikogo nie widziałem tak mięsistych płatków usznych.

— Nie przeszkadza panu, że licznik bije?

— Nie przeszkadza — odpowiedziałem.

Uśmiechnął się zadowolony.

— Nie boi się pan, że ukradną wóz? — zapytałem.

Machnął ręką.

— E, tam...

Zamówił kanapkę i jadł ją sumiennie, przypatrując mi się melancholijnie.

— A na co pan właściwie czeka?

— Na kogoś, kto ma wyjść z cerkwi, niedaleko stąd.

— Pan jest Rosjaninem?

— Nie.

— To nie ma sensu... trzeba było spytać go, o której godzinie wyjdzie... To by pana mniej kosztowało...

— Trudno.

Zamówił następne piwo.

— Mógłby mi pan kupić gazetę? — spytał.

Zrobił ruch, jakby sięgał do kieszeni po drobne, ale go powstrzymałem.

— Nie trzeba...

— Dziękuję. Poproszę o „Le Hérisson”. Raz jeszcze dziękuję.

Długo błądziłem, zanim natrafiłem na kiosk przy avenue de Versailles. „Le Hérisson” był drukowany na seledynowym papierze.

Czytał go marszcząc brwi, a stronicę obracał palcem wskazującym, wprzód go pośliniwszy. Przyglądałem się, jak ten gruby blondyn z niebieskimi oczyma czyta swoją seledynową gazetę.

Nie śmiałem przerwać mu lektury. Wreszcie spojrział na małe zegarek na ręce.

— Trzeba iść.

Na ulicy Charles-Marie-Widor usiadł przy kierownicy taksówki, a ja poprosiłem, żeby jeszcze zaczekał. Znowu stanąłem przed cerkwią, ale na przeciwnym chodniku.

Nikogo. Może już wszyscy poszli? W takim razie nie miałbym żadnej możliwości odnalezienia Stiopy Diagoriewa, gdyż nazwisko to nie figurowało w paryskim Bottinie. Za witrażami okien, od strony alei, wciąż jednak paliły się świece. Czy znałem kiedyś tę bardzo już wiekową damę, za którą odprawiano modły? Jeśli obracałem się w towarzystwie Stiopy, to możliwe, że poznał mnie ze swoimi przyjaciółmi, a więc na pewno i z tą Marią de Rosen. Musiała być znacznie starsza od nas.

Drzwi, którymi oni weszli, prowadzące chyba do kaplicy, gdzie odbywało się nabożeństwo, i których nie spuszczałem z oczu, nagle się otworzyły i w ich ramie ukazała się blondynka w muskieterskim kapeluszu, a za nią brunetka w czarnym szalu. Następnie ojciec i syn w popielatych ubraniach w prąż-

ki, podtrzymujący gipsowego starca, który rozmawiał z tęgim łysym mężczyzną o głowie Mongoła. Ten pochylał się i niemal przyciskał ucho do ust swojego rozmówcy: głos gipsowego starca był już zapewne tylko słabym tchnieniem. Za nimi szli inni. Z bijącym sercem czekałem na Stiope.

Wyszedł wreszcie, prawie na końcu. Bardzo wysoki wzrost i granatowy płaszcz sprawiły, że nie straciłem go z oczu, chociaż ludzi było dużo, co najmniej czterdzieści osób. W większości starszych, ale zauważyłem również parę młodych kobiet, a nawet dwoje dzieci. Wszyscy zatrzymali się w alei i rozmawiali.

Wyglądało to jak szkolne podwórze na prowincji. Gipsowego starca usadowiono na ławce i każdy po kolei podchodził, aby się z nim przywitać. Kto to był? Georges Sacher z zawiadomienia w gazecie? A może były elew Korpusu Paziów? Może on i ta pani Maria de Rosen przeżyli krótką idyllę w Petersburgu albo nad brzegami Morza Czarnego, zanim wszystko obróciło się w ruinę? Koło łysego grubasa z mongolskimi oczyma również było tłoczno. Ojciec i syn w popielatych garniturach w prążki chodzili od grupy do grupy, jak fordanserzy od stolika do stolika. Wydawali się bardzo z siebie zadowoleni; ojciec od czasu do czasu śmiał się odrzucając głowę do tyłu, co uznałem za bardzo niestosowne.

Stiopa poważnie rozmawiał z kobietą w szarym muszkieterskim kapeluszu. Gestem pełnej szacunku serdeczności ujmował ją za dłoń i za ramię. Musiał być kiedyś naprawdę przystojny. Wyglądał mi na siedemdziesiątkę. Lekko łysiejący, twarz miał trochę nalaną, ale dość wydatny nos i sposób trzymania głowy miały w sobie coś bardzo szlachetnego. Tak mi się przynajmniej z tej odległości wydawało.

Czas mijał. Upłynęło z pół godziny, a oni wciąż rozmawiali. Bałem się, że gdy tak będę stał na chodni-

ku, w końcu ktoś z nich zwróci na mnie uwagę. A taksówkarz? Szybko wróciłem na ulicę Charles-Marie-Widor. Silnik wciąż pracował, a on siedział przy kierownicy zatopiony w lekturze seledynowej gazety.

— No i co? — zapytał.

— Nie wiem — odpowiedziałem. — Może trzeba będzie z godzinę poczekać.

— Pański znajomy nie wyszedł jeszcze z cerkwi?

— Owszem, ale rozmawia z innymi osobami.

— I pan nie może go zawołać?

— Nie.

Jego niebieskie oczy zatrzymały się na mnie z wyrazem niepokoju.

— Niech się pan nie przejmuj — powiedziałem.

— Chodzi mi o pana... nie mogę wyłączyć licznika...

Wróciłem na mój posterunek naprzeciw cerkwi.

Stiopa przesunął się parę metrów do przodu. Stał teraz nie w alei, lecz na chodniku, pośrodku grupy, którą tworzyli blondynka w muszkieterskim kapeluszu, brunetka w czarnym szalu, łysy człowiek z mongolskimi oczyma i jeszcze dwóch mężczyzn.

Tym razem przeszedłem na drugą stronę ulicy i stanąłem koło nich, odwrócony plecami. Otoczył mnie pieszczotliwy gwar rosyjskich głosów, a także dźwięk poważniejszy, bardziej od nich metaliczny, może głos Stiopy? Odwróciłem się. Długo ścisnął jasnówłosą kobietę w muszkieterskim kapeluszu, niemal nią potrząsając; rysy jego twarzy ściągnęły się boleśnie. Potem tak samo uściśnął łysego grubasa o skośnych oczach i wszystkich po kolei. „Chwila rozstania” — pomyślałem. Pobiegłem do taksówki i pośpiesznie wsiadłem.

— Szybko... prosto... przed cerkiew...

Stiopa wciąż rozmawiał.

— Jak mam jechać? — zapytał kierowca.

— Widzi pan tego wysokiego gościa w granatowym płaszczu?

— Widzę.

— Musimy jechać za nim, jeżeli ma tutaj wóz.

Kierowca odwrócił się, popatrzył mi w twarz wybałuszając niebieskie oczy.

— Proszę pana, mam nadzieję, że to nic niebezpiecznego?

— Niech pan będzie spokojny — powiedziałem.

Stiopa odłączył się od grupy, przeszedł parę kroków; nie odwracając się machał ręką. Inni stojąc w miejscu patrzyli, jak się oddala. Kobieta w szarym muszkieterskim kapeluszu wysunęła się trochę na przód grupy, lekko pochyłona jak figura na dziobie okrętu, a wiatr delikatnie muskał wielkie pióro nad jej głową.

Upłynęło trochę czasu, zanim otworzył drzwi swojego samochodu. Zdaje się, że pomylił kluczyki. Kiedy już usiadł za kierownicą, nachyliłem się do taksówkarza:

— Proszę jechać za wozem, do którego wsiadł facet w granatowym płaszczu.

Gorąco pragnąłem, żeby to nie był fałszywy trop, bo prawdę powiedziawszy nic nie wskazywało, że ten człowiek to Stiopa Diagoriew.

IV

Nietrudno było jechać za nim: prowadził wóz powoli. Przy Porte Maillot zlekceważył czerwone światło, a taksówkarz nie odważył się pójść za jego przykładem. Ale dopędziliśmy go na bulwarze Maurice-Barrès. Nasze samochody stanęły obok siebie pod światłem. Rzucił na mnie roztargnione spojrzenie, jak

to czynią kierowcy, kiedy znajdują się w korku obok siebie.

Zaparkował wóz na bulwarze Richard-Wallaœe, przy ostatnich domach, w pobliżu mostu de Puteaux i Sekwany. Wszedł w ulicę Julien-Potin, a ja zapłaciłem taksówkarzowi.

— Życzę szczęścia — rzekł. — Niech pan będzie ostrożny...

Czułem, że odprowadza mnie wzrokiem, kiedy ja z kolei zapuściłem się w ulicę Julien-Potin. Może bał się o mnie.

Zapadała noc. Wąska ulica obramowana bezosobowymi kamienicami z okresu międzywojennego, które z każdej strony tworzyły jedną zwartą fasadę przez całą długość ulicy Julien-Potin. Stiopa był o jakieś dziesięć metrów przede mną. Skręcił w prawo w ulicę Ernest-Deloison i wszedł do sklepu spożywczego.

Nadchodziła stosowna chwila, abym go zagadnął. Było to dla mnie niezwykle trudne, bo jestem nieśmiały i bałem się, że weźmie mnie za wariata: będę coś bełkotał, plótł jakieś zdania bez związku. Chyba że on od razu mnie pozna, a wtedy jemu pozwolę mówić.

Wszedł ze sklepu z papierową torbą w ręce.

— Czy pan Stiopa Diagoriew?

Był naprawdę zdziwiony. Nasze głowy znajdowały się na tej samej wysokości, co jeszcze bardziej mnie onieśmialo.

— Tak, to ja. Ale kim pan jest?

Nie, nie poznawał mnie. Mówił po francusku bez obcego akcentu. Trzeba się było zdobyć na odwagę.

— Ja... ja od dawna... chciałem się z panem zobaczyć.

— A to dlaczego, proszę pana?

— Piszę... piszę książkę o emigracji... Ja...

— Jest pan Rosjaninem?

Po raz drugi zadawano mi to pytanie. Niedawno usłyszałem je od taksówkarza. Może istotnie byłem kiedyś Rosjaninem.

— Nie.

— I pan interesuje się emigracją?

— Ja... ja piszę książkę o emigracji. Dlatego... Dlatego... ktoś mi poradził, bym udał się do pana... Paul Sonaszydze...

— Sonaszydze?...

Wymawiał to z rosyjska. Bardzo miękko: szelest wiatru wśród liści.

— Nazwisko gruzińskie... Nie znam...

Zmarszczył brwi.

— Sonaszydze... nie...

— Nie chciałbym się panu naprzykrzać... Tylko parę pytań.

— Ależ z największą chęcią...

Uśmiechał się smutno.

— Emigracja to temat tragiczny. Ale dziwi mnie, że pan nazywa mnie Stiopą...

— Ja... nie... ja...

— Większość ludzi, którzy tak się do mnie zwracali, już nie żyje. Resztę można policzyć na palcach jednej ręki.

— To... ten Sonaszydze.

— Nie znam go.

— Czy mógłbym... zadać... panu... parę pytań?

— Owszem. Może wstąpi pan do mnie? Porozmawiamy.

Minąwszy bramę wjazdową przy ulicy Julien-Potin, przecięliśmy skwer otoczony blokami mieszkalnymi. Wsiadliśmy do drewnianej windy, której dwuskrzydłowe drzwi zaopatrzone były w kratę, windy tak ciasnej, że przy naszym wzroście musieliśmy pochylić głowy i przylgnąć do ściany, aby nie zderzyć się czołami.

Zajmował dwupokojowe mieszkanie na piątym piętrze. Zaprowadził mnie do sypialni i wyciągnął się na łóżku.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział. — Ale sufit jest za niski. Na stojąco można się udusić.

Istotnie pomiędzy sufitem a czubkiem mojej głowy było zaledwie parę centymetrów i musiałem się pochylić. Obaj zresztą byliśmy o głowę za wysocy, aby przejść przez drzwi, więc pomyślałem, że on na pewno często ranił się w czoło.

— Niech pan się również położy... jeżeli ma pan ochotę... — Wskazywał mi małą sofę pod oknem, krytą jasnozielonym pluszem.

— Proszę się nie krępować... na leżąco będzie panu znacznie wygodniej... Nawet siedząc człowiek czuje się tutaj jak w za ciasnej klatce... Tak, tak... proszę się położyć.

Położyłem się.

Zapalił lampę z abażurem łososiowego koloru, która stała na stoliku nocnym: rzucała łagodne światło i cienie na suficie.

— A zatem pan interesuje się emigracją?

— Ogromnie.

— Ale jest pan jeszcze młody...

Młody? Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Tuż przy mnie wisiało na ścianie duże lustro w złoconej ramie. Przyjrzałem się swojej twarzy. Młody?

— Och... nie jestem już taki młody...

Przez chwilę panowało milczenie. Leżąc tak pod ścianami naprzeciw siebie wyglądaliśmy jak palacze opium.

— Wracam z cerkwi — powiedział. — Szkoda, że nie udało się już panu zobaczyć z tą bardzo wiekową kobietą, za którą dziś odprawialiśmy modły... Mogłaby panu opowiedzieć mnóstwo rzeczy... Była jedną z najwybitniejszych postaci emigracji.

— Ach tak?

— Nadzwyczaj dzielna kobieta. Na początek założyła małą herbaciarnię przy ulicy Mont-Thabor i wszystkim pomagała... Było jej bardzo ciężko.

Usiadł na skraju łóżka, zgarbiony, ze skrzyżowanymi rękoma.

— Miałem wtedy piętnaście lat... Gdyby tak policzyć... nie pozostało już wielu...

— Pozostał... Georges Sacher — powiedziałem na chybił trafił.

— Nie na długo. Pan go zna?

Czy to ten gipsowy starzec? A może łysy grubas z głową Mongoła?

— Niech pan posłucha — rzekł. — Trudno mi o tym wszystkim mówić... To zbyt smutne... Mogę tylko pokazać panu fotografie... Na odwrocie są nazwiska i daty... to panu ułatwi...

— Jest pan naprawdę bardzo uprzejmy zadając sobie tyle trudu.

Uśmiechnął się.

— Mam mnóstwo zdjęć... Zanotowałem nazwiska i daty, bo wszystko tak się zaciera w pamięci...

Wstał i zgarbiony wyszedł do sąsiedniego pokoju.

Słyszałem, jak otwiera jakąś szufladę. Wrócił z dużym czerwonym pudełkiem i usiadł na ziemi oparty plecami o brzeg łóżka.

— Proszę tu do mnie. Tak będzie nam wygodniej to przeglądać.

Usiadłem. Na pokrywie pudełka widniało wypisane gotyckimi literami nazwisko jakiegoś cukiernika. Otworzył je. Było pełne fotografii.

— Ma pan tutaj — powiedział — najważniejsze postacie emigracji.

Podawał mi kolejno zdjęcia wymieniając nazwisko i datę, które wprzód odczytywał na odwrocie; była to

litania, której rosyjskie nazwiska nadawały szczególną dźwięczność, raz przenikliwą niby głos cymbałków, to znowu żalostną i niemal głuchą. Trubecki. Orbeliani. Szeriemietiew. Golicyn. Jeristow. Oboleński. Bagration. Czawczawadze... Czasem zabierał mi fotografię, aby powtórnie odczytać nazwisko i datę. Zdjęcia z uroczystości. Stół wielkiego księcia Borysa podczas gali w Château-Basque w dobrych parę lat po rewolucji. I mnóstwo twarzy na fotografii „z białoczarnej” przyjęcia w roku 1914... Uczniowie jednej z klas liceum Aleksandrowskiego w Petersburgu.

— Mój starszy brat...

Podawał mi fotografie coraz szybciej, prawie już nie patrząc. Widać było, że chce jak najprędzej z tym skończyć. Nagle zatrzymałem się przy zdjęciu na grubszym papierze niż inne, bez żadnego napisu na odwrocie.

— No? — zapytał. — Coś pana zaintrygowało?

Na pierwszym planie stary człowiek, wyprostowany i uśmiechnięty, siedział w fotelu. Za nim młoda kobieta, blondynka z bardzo jasnymi oczyma. Dookoła małe grupki ludzi, przeważnie odwróconych plecami. A na lewo, z prawym bokiem obcięty przez brzeg fotografii, z ręką na ramieniu młodej blondynki, mężczyzna bardzo wysoki, w angielczyźnie, lat około trzydziestu, z czarnymi włosami, cienkim wąsem. Wydało mi się, że to jestem ja.

Przysunąłem się do niego. Plecami opieraliśmy się o krawędź łóżka, nasze wyciągnięte na podłozie nogi i nasze ramiona stykały się.

— Proszę mi powiedzieć, kim są ci ludzie? — zapytałem.

Wziął fotografię i popatrzył na nią ze znużoną miną.

— To jest Dżordżadze...

I wskazał starca w fotelu.

— Był w konsulacie gruzińskim w Paryżu do chwili, gdy...

Nie dokończył zdania, jak gdybym ja i tak znał jego ciąg dalszy.

— To jego wnuczka... Nazywano ją Gay... Gay Orłow... Wyemigrowała z rodzicami do Ameryki...

— Pan ją znał?

— Nie za dobrze. Nie. Długo mieszkała w Ameryce.

— A ten? — spytałem słabym głosem, wskazując siebie na fotografii.

— Ten?

Zmarszczył brwi.

— Ten? Nie znam go.

Wzięłem głęboki oddech.

— Nie wydaje się panu, że jest podobny do mnie?

Popatrzył na mnie.

— Podobny do pana? Nie. Skąd to panu przyszło do głowy?

— Ot, tak sobie.

Podał mi inną fotografię.

— Proszę popatrzeć... Co za przypadek...

Było to zdjęcie dziewczynki w białej sukience, z długimi blond włosami, zrobione w jakimś uzdrowisku, bo widać było kabiny, skrawek plaży i morza. Na odwrocie ktoś napisał fioletowym atramentem „Maria Orłow — Jałta”.

— Widzi pan... to jest ta sama.. Gay Orłow... Nazywała się Maria... Nie miała jeszcze tego amerykańskiego imienia.

I na fotografii, którą wciąż jeszcze trzymałem w rękach, wskazywał mi młodą kobietę o blond włosach.

— Moja matka przechowywała te wszystkie rzeczy...

Wstał gwałtownie.

— Pozwoli pan, że przerwiemy? W głowie mi się kręci...

Przesunął ręką po czole.

— Przebiorę się... Jeżeli pan chce, możemy razem coś zjeść...

Siedziałem teraz sam na ziemi wśród rozrzuconych fotografii. Ułożyłem je w dużym czerwonym pudełku; wybrałem tylko dwie, kładąc je na łóżku: zdjęcie, gdzie stałem koło Gay Oriów i starego Dżordzadze, oraz fotografię Gay Oriów, zrobioną w Jałcie. Wstałem i podszedłem do okna.

Było już ciemno. Okno wychodziło na inny skwer obudowany blokami. W głębi Sekwana, po lewej — most de Puteaux. I wyspa. Sznury samochodów ciągnęły przez most. Patrzyłem na te wszystkie fasady, te wszystkie oświetlone okna, podobne do tego, przy którym stałem. I oto w tym labiryncie domów, schodów i wind, w tym mrowisku odnalazłem człowieka, który może...

Przycisnąłem czoło do szyby. W dole każde wejście do budynku jarzyło się żółtym światłem, które miało się palić całą noc.

— Restauracja jest obok — powiedział.

Wziąłem dwa zdjęcia, które zostawiłem na łóżku.

— Czy byłby pan tak uprzejmy — zapytałem — i pożyczył mi te dwie fotografie?

— Mogę je panu podarować.

I wskazał czerwone pudełko.

— Dam je panu wszystkie.

— Ale... ja...

— Proszę je wziąć.

Ton był tak rozkazujący, że musiałem usłuchać. Kiedy opuszczaliśmy mieszkanie, niosłem pod pachą duże pudełko.

Znalazszy się na dole, skręciliśmy w bulwar Général-König.

Zeszliśmy kamiennymi schodami; tam, tuż nad brzegiem Sekwany, stał budynek z cegły. Nad drzwiami szyld: „Bar Restauracja «Na Wyspie»”. Weszliśmy. Niska sala, stoliki przykryte białymi papierowymi obrusami, wiklinowe fotele. Przez okna widać było Sekwanę i światła z Puteaux. Siedliśmy w głębi. Byliśmy jedynymi gośćmi.

Stiopa sięgnął do kieszeni i położył na środku stołu paczkę, z którą, jak widziałem, wyszedł ze sklepu spożywczego.

— Jak zwykle? — zapytał go kelner.

— Jak zwykle.

— A ten pan? — spytał kelner wskazując mnie.

— Pan będzie jadł to samo, co ja.

Kelner podał nam bardzo szybko dwa talerze śledzi bałtyckich i napełnił szklaneczki wielkości naparstka wodą mineralną. Stiopa wyjął z leżącego na środku stołu pakietu ogórki, które podzieliliśmy między siebie.

— Czy to panu smakuje? — zapytał mnie.

— Tak.

Czerwone pudełko położyłem obok siebie na krześle.

— Naprawdę nie chce pan zachować tych wszystkich pamiątek?

— Nie. Teraz należą już do pana. Przekazuję panu pochodnię.

Jedliśmy w milczeniu. Jakaś barka prześliznęła się tak blisko, że miałem czas zobaczyć w ramie okna jej pasażerów dokoła stołu; oni również jedli kolację.

— A ta... Gay Orłow? — zapytałem. — Czy pan wie, co się z nią stało?

— Gay Orłow? Chyba już nie żyje.

— Nie żyje?

— Tak mi się wydaje. Spotkałem ją zaledwie dwa albo trzy razy... Prawie jej nie znałem. To moja

matka przyjaźniła się ze starym Dżordżadze. Może jeszcze kawałek ogórka?

— Dziękuję.

— Wydaje mi się, że w Ameryce prowadziła bardzo urozmaïcony tryb życia...

— A nie wie pan, kto mógłby mi udzielić jakichś informacji o tej... Gay Orłow?

Popatrzał na mnie ze smutkiem.

— Bardzo mi przykro... nikt... Może ktoś w Ameryce...

Przepłynęła druga barka, czarna, powolna, jak gdyby wyludniona.

— Ja na deser zamawiam stale banana — powiedział. — A pan?

— Ja także.

Zjedliśmy banany.

— A krewni tej... Gay Orłow? — zapytałem.

— Zapewne pomarli w Ameryce. Jak panu wiadomo, umiera się wszędzie...

— Dżordżadze nie miał innych krewnych we Francji?

Wzruszył ramionami.

— Ale dlaczego pana tak interesuje Gay Orłow? To pańska siostra?

Uśmiechał się do mnie życzliwie.

— Może kawy? — zapytał.

— Nie, dziękuję.

— Ja również dziękuję.

Chciał uregulować rachunek, ale go wyprzedziłem. Wyszliśmy z restauracji „Na Wyspie” i on wziął mnie pod ramię, aby wejść na schody prowadzące na bulwar. Podniosła się mgła, jednocześnie łagodna i lodowata, wypełniając nasze płuca niezwykłą rześkością: zdawało się nam, że płyniemy w powietrzu. Z chodnika na bulwarze z trudem dostrzegłem bloki stojące w odległości zaledwie kilku metrów.

Doprowadziłem go jak ślepcę aż do skweru, wokoło którego wejścia do klatek schodowych tworzyły żółte plamy, jedyne punkty orientacyjne w tych ciemnościach. Uścisnął mi rękę.

— Mimo wszystko niech pan spróbuje odnaleźć Gay Orłow — powiedział. — Skoro tak panu na tym zależy...

Widziałem, jak wchodzi do oświetlonego przed-sionka. Zatrzymał się i skinął mi ręką. Stałem bez ruchu, z dużym czerwonym pudełkiem pod pachą, jak dziecko powracające z urodzinowego podwieczorku, i byłem pewny, że powiedział wtedy coś jeszcze, ale mgła stłumiła dźwięk jego głosu.

V

Na pocztówce Promenade des Anglais, w lecie.

Mój drogi Guy, właśnie otrzymałem pański list. Tutaj wszystkie dni są do siebie podobne, ale Nicea jest bardzo pięknym miastem. Musi pan tu kiedyś do mnie przyjechać. To zabawne, ale coraz to spotykam na ulicy kogoś, kogo nie widziałem od trzydziestu lat albo uważałem za zmarłego. Tak się wzajemnie straszymy. Nicea jest miastem duchów i widm, ale mam nadzieję, że nie tak szybko powiększą ich grono.

Co do osoby, której pan poszukuje, najlepiej byłoby zatelefonować do Bernardy'ego, Mac Mahon 00-08. Wciąż jeszcze ma bardzo bliskie kontakty z ludźmi w różnych resortach. Będzie rad mogąc dostarczyć panu informacji.

Z nadzieją, że zobaczymy się w Nicei, mój drogi Guy, pozostaję szczerze oddany i gotów do usług.

Hutte

PS. Proszę pamiętać, że lokal Agencji jest do pańskiej dyspozycji.

VI

23 października 1965

Dotyczy: Orłow Maria, zwana Gay Orłow.

Urodzona w Moskwie (Rosja) w r. 1914, córka Kiryła Orłowa i Ireny Dżordżadze.

Obywatelstwo: bez przynależności państwowej (rodzice jej i ona sama, jako uchodźcy z Rosji, nie zostali uznani przez Rząd Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich za jego obywateli). Zameldowana na pobyt stały. Przybyła do Francji w 1936 ze Stanów Zjednoczonych.

W USA zawarła związek małżeński z Waldo Bluntem, a następnie rozwiodła się z nim.

Kolejne adresy:

hotel „Chateaubriand”, ul. du Cirque 18, Paryż VIII
avenue Montaigne 53, Paryż VIII
avenue du Maréchal-Lyautey 25, Paryż XVI.

Zanim przyjechała do Francji, pracowała jako tancerka.

Nie znane są źródła jej dochodów w Paryżu, chociaż prowadziła luksusowy tryb życia.

Zmarła w roku 1950 w swoim mieszkaniu przy avenue du Maréchal-Lyautey 25, Paryż XVI, po zażyciu zbyt wielkiej dawki barbituranów.

Waldo Blunt, jej były mąż, zamieszkały w Paryżu od 1952, zatrudniany był w wielu nocnych lokalach jako pianista. Ma obywatelstwo amerykańskie. Urodzony 30 października 1910 w Chicago.

Wiza pobytowa nr 534 HC 828.

Do tej pisanej na maszynie kartki dołączony bilet wizytowy Jean-Pierre Bernardy'ego z dopiskiem:

Oto wszystkie dostępne mi informacje. Najserdeczniejsze wyrazy pamięci. Pozdrowienia dla Huttego.

Afisz na oszklonych drzwiach głosił, że „Pianista Waldo Blunt gra codziennie od godziny osiemnastej do dwudziestej pierwszej w barze hotelu Hilton”.

Bar był przepelniony, wszystkie miejsca zajęte, z wyjątkiem pustego fotela przy stoliku Japończyka w okularach o złotej oprawie. Nie zrozumiał, gdy pochyliłem się nad nim pytając, czy mogę się dosiąść, a gdy usiadłem, nie zwrócił na to żadnej uwagi.

Goście, Amerykanie i Japończycy, wchodzili, witali się i rozmawiali coraz głośniejsze. Stawiali między stolikami. Niektórzy, z kieliszkiem w ręce, trzymali się oparcia albo poręczy fotela. Jakaś młoda kobieta przycupnęła nawet na kolanach siwowłosego mężczyzny.

Waldo Blunt przyszedł z piętnastominutowym opóźnieniem i zasiadł do fortepianu. Nieduży pulchny człowiek, łysiejący, z cienkimi wąsami, w popielatym ubraniu. Najpierw odwrócił głowę i spojrzeniem powiodł po stolikach, przy których tłoczyli się ludzie. Pieszczotliwie przesunął prawą dłoń po klawiaturze i wziął parę przypadkowych akordów. Miałem szczęście, bo siedziałem przy jednym z najbliższych stolików.

Zaczął chyba od „Bulwarów starego Paryża”, ale szum rozmów i wybuchy śmiechu zagłuszały muzykę, tak że nawet ja, siedząc tak blisko, niewiele słyszałem. Blunt grał dalej, niewzruszony, wyprostowany, z pochyłoną głową. Żal mi się go zrobiło; pomyślałem, że na pewno kiedyś słuchano jego gry, potem musiał przyzwycząć się do wiecznego gwaru, tłumiącego jego muzykę. Co powie, gdy wymienię nazwisko Gay Orłow? Czy to imię wyrwie go na chwilę z obojętności, z jaką wykonywał swój numer?

A może nie wywrze na nim żadnego wrażenia, podobnie jak dźwięki fortepianu nie były zdolne zapanować nad wrzawą rozmów?

Bar po trochu się wyludniał. Oprócz mnie pozostali już tylko Japończyk w połyskujących złotą oprawą okularach i, całkiem w głębi, młoda kobieta, którą przedtem widziałem na kolanach siwowłosego mężczyzny, a która teraz siedziała obok czerwonego grubasa w jasnogranatowym ubraniu. Mówili po niemiecku, i to bardzo głośno. Waldo Blunt grał teraz powolną melodię, dobrze mi znaną.

Odwrócił się do nas.

— Panie i panowie, czy życzyście sobie, abym zagrał coś specjalnie dla was? — zapytał obojętnym głosem z lekkim akcentem amerykańskim.

Japończyk koło mnie wcale nie zareagował. Siedział sztywno, z nieruchomą twarzą; bałem się, że przy najłżejszym powiewie obsunie się z fotela, bo niewątpliwie był to zabalsamowany nieboszyk.

— Ja proszę o „Sag, warum”! — zawołała ochrypłym głosem kobieta z głębi sali.

Blunt lekko skinął głową i zaczął grać „Sag, warum”. Światło w barze przygasło jak na niektórych dansingach przy pierwszych taktach slow-foxa. Tamci skorzystali z tego, aby się pocałować, a ręka kobiety wśliznęła się za koszulę czerwonego grubasa, a potem niżej. Oprawne w złoto okulary Japończyka rzucały krótkie błyski. Blunt przy fortepianie wyglądał jak podrygujący automat: przy „Sag, warum” trzeba nieustannie brać akordy.

O czym myślał mając za plecami czerwonego grubasa, który głąskał udo kobiety o blond włosach, i tego zabalsamowanego Japończyka, który na pewno od wielu już dni siedzi na fotelu w barze u Hiltona? Byłem pewny, że Blunt w ogóle nie myślał. Po-

grażał się w coraz bardziej nieprzezroczystej martwocie. Czy miałem prawo wyrwać go z tego odrętwienia, obudzić w nim coś bolesnego?

Czerwony grubas i blondynka wyszli z baru, zapewne aby wziąć pokój. Mężczyzna ciągnął ją za ramię, bo słabo trzymała się na nogach. Zostaliśmy już tylko ja i Japończyk.

Blunt znowu zwrócił się do nas i rzekł swoim chłodnym tonem:

— Czy mam zagrać coś innego?

Japończyk ani drgnął.

— Prosiłbym o „Co nam zostało z tych lat” — powiedziałem.

Grał z dziwną powolnością, melodia jakby rozluźniała się i grzęzła w bagnie, z którego nuty opieszale się wydobywały. Chwilami przestawał grać, wyczerpany, jak wędrowiec zataczający się ze zmęczenia. Popatrzył na zegarek, szybko wstał i pochylił głowę w naszą stronę:

— Panowie, jest godzina dwudziesta pierwsza. Dobranoc.

Wyszedł, a ja tuż za nim, pozostawiając zabalsmowanego Japończyka w krypcie baru.

Minął korytarz i pusty hall.

Zrównałem się z nim.

— Pan Waldo Blunt?... Czy mógłbym z panem porozmawiać?

— W jakiej sprawie?

Rzucił mi spłoszone spojrzenie.

— W sprawie osoby, którą pan kiedyś znał... Kobiety imieniem Gay. Gay Orłow...

Stał bez ruchu pośrodku hallu.

— Gay...

Wytrzeszczał oczy, jak gdyby skierowano mu prosto na twarz światło reflektora.

— Pan... pan znał... Gay?

— Nie.

Wyszliśmy z hotelu. Mężczyźni i kobiety w jaskrawych wieczorowych strojach — długie jedwabne suknie koloru zielonego albo błękitnego i ciemnoczerwone smokingi — czekali w kolejce na taksówki.

— Nie chciałbym się panu naprzykrzać...

— Nie naprzykrza mi się pan — odpowiedział z zakłopotaną miną. — Tak dawno nikt nie rozmawiał ze mną o Gay... Ale kim pan jest?

— Jej kuzynem. Ja... pragnąłbym dowiedzieć się o niej jakichś bliższych szczegółów...

— Szczegółów?

Pocierał sobie skroń wskazującym palcem.

— O co by panu chodziło?

Weszliśmy w wąską ulicę prowadzącą wzdłuż hotelu nad Sekwanę.

— Muszę wracać do domu — powiedział.

— Odprowadzę pana.

— Więc pan jest naprawdę kuzynem Gay?

— Tak. My, nasza rodzina, chcielibyśmy zdobyć o niej jakieś informacje.

— Od dawna nie żyje.

— Wiem.

Spieszył się tak, że z trudem dotrzymywałem mu kroku. Starłem się, aby mnie nie wyprzedzał. Doszliśmy do bulwaru Branly.

— Mieszkam naprzeciwno — powiedział wskazując drugi brzeg Sekwany.

Znaleźliśmy się na moście Bir-Hakeim.

— Nie będę miał panu wiele do powiedzenia. Bardzo dawno temu znałem Gay.

Zwolnił kroku, jak gdyby już poczuł się bezpieczny. Może wydawało mu się, że ktoś go śledzi, i dlatego szedł dotąd tak szybko. Albo chciał się mnie pozbyć.

— Nie wiedziałem, że Gay miała rodzinę — rzekł.

— Ależ tak... tak... ze strony Dżordżadzych...

— Jak, proszę?

— Rodzina Dżordżadze... Jej dziadek nazywał się Dżordżadze...

— Ach tak...

Przystanął i oparł się o kamienną balustradę mostu. Nie mogłem pójść za jego przykładem, bo dostałbym zawrotu głowy. Stałem więc przed nim. Ociągał się z mówieniem.

— Czy pan wie... że byłem jej mężem?

— Tak.

— Skąd pan o tym wie?

— Wyszperałem to w starych papierach.

— Zaangażowaliśmy się razem do nocnego lokalu w Nowym Jorku... Ja grałem na fortepianie. Gay tylko dlatego zaproponowała mi małżeństwo, że chciała zostać w Ameryce i uwolnić się od kłopotów z urzędem emigracyjnym...

Pokiwał głową na to wspomnienie.

— Dziwna to była dziewczyna. Potem zajął się nią Lucky Luciano. Poznali się, gdy występowała w kasynie w Palm Island...

— Luciano?

— Tak, tak: Luciano... Była z nim, kiedy aresztowano go w Arkanzas... Potem spotkała jakiegoś Francuza i, jak mówiono, wyjechała z nim do Francji...

Wzrok mu pojaśniał. Uśmiechnął się do mnie.

— Cieszy mnie, że mogłem porozmawiać o Gay...

Nad nami przemknął pociąg metra jadący na prawy brzeg Sekwany. Potem drugi, w przeciwną stronę. Hałas zagłuszał słowa Blunta. Mówił coś do mnie, widziałem, jak poruszały się jego wargi.

— ...najpiękniejsza dziewczyna, jaką znałem...

Ten urywek zdania, jaki zdołałem pochwycić, odbierał mi całą odwagę. Stałem na środku mostu, w nocy, z nieznanym człowiekiem, z którego usiło-

wąłem wydobyć jakieś szczegóły o mojej przeszłości, tymczasem zagłuszał je huk metra.

— Czy nie moglibyśmy pójść parę kroków dalej?

Był tak zatopiony w myślach, że nie odpowiedział. Na pewno już od dawna nie wracał do wspomnień o Gay Orłow, a teraz wszystkie one wypływały na powierzchnię i oszałamiały go niby morski wiatr. Wciąż stał oparty o poręcz mostu.

— Czy nie moglibyśmy jednak pójść trochę dalej?

— Znał pan Gay? Czy się pan kiedy z nią zetknął?

— Nie. Właśnie dlatego chciałbym poznać jakieś szczegóły.

— Była blondynką... z zielonymi oczyma... Blondynka... bardzo niezwykła... Jak to panu powiedzieć? ...Włosy blond... z popielatym odcieniem...

Blondynka o włosach z popielatym odcieniem, która może odegrała znaczną rolę w moim życiu. Muszę uważnie przyjrzeć się jej fotografii. I powoli wszystko się przypomni. A przynajmniej odnajdę jakiś wyraźniejszy ślad. Osiągnięciem było już to, że odzukałem Waldo Blunta.

Wziąłem go pod rękę, bo nie mogliśmy dłużej tak stać na moście. Poszliśmy bulwarem Passy.

— Czy widział się pan z nią we Francji? — zapytałem.

— Nie. Kiedy przyjechałem do Francji, już nie żyła. Popełniła samobójstwo...

— Dlaczego?

— Nieraz mi mówiła, że boi się starości.

— Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

— Po historii z Luckym Luciano poznała tego Francuza. Wtedy czasami widywaliśmy się...

— A znał pan tego Francuza?

— Nie. Powiedziała mi, że chce wyjść za niego, żeby dostać obywatelstwo francuskie... Posiadanie obywatelstwa było jej manią...

— Ale mieliście rozwód?

— Ma się rozumieć... Nasze małżeństwo trwało pół roku... Akurat, żeby uspokoić urząd emigracyjny, który chciał ją wysiedlić ze Stanów Zjednoczonych...

Musiałem się dobrze skupić, aby nie zgubić wątku jego opowiadania. Zwłaszcza że głos miał bardzo słaby.

— Wyjechała do Francji... I już więcej jej nie zobaczyłem... Aż dowiedziałem się o... samobójstwie...

— W jaki sposób pan się o tym dowiedział?

— Od znajomego Amerykanina, który znał Gay i w tym czasie był w Paryżu. Przesłał mi mały wycinek z gazety...

— Zachował go pan?

— Tak. Na pewno mam go u siebie. W którejś szufladzie.

Doszliśmy do ogrodów Trocadéro. Fontanny były podświetlone i ruch panował duży. Turyści gromadzili się głównie przy fontannach i na moście d'Iéna. Październikowy sobotni wieczór, ale łagodne powietrze, spacerowicze i drzewa, które jeszcze nie utraciły liści, stwarzały złudzenie, że to wiosenny wieczór sobotni.

— Mieszkam tam trochę dalej...

Prześliśmy ogrody i zapuściliśmy się w avenue de New-York. Pod drzewami doznałem przykrego wrażenia, że to wszystko mi się śni. Przeżyłem już swoje życie i jestem tylko duchem, który unosi się w ciepłym powietrzu sobotniego wieczoru. Po co nawiązywać zerwane od dawna więzi, szukać zamurowanych od dawna przejść? I trudno mi było uwierzyć, że ten niewysoki człowiek, pulchny i z wąsami, który szedł obok mnie, istnieje naprawdę.

— To dziwne, ale nagle przypomniałem sobie nazwisko Francuza, którego Gay poznała w Ameryce...

— Jak się nazywał? — zapytałem drżącym głosem.

— Howard... To było jego nazwisko... nie imię...
Zaraz, zaraz... Howard de... coś tam...

Zatrzymałem się i pochyliłem nad nim.

— Howard de... co?

— De... de... de Luz. L... u... z... Howard de Luz...
Howard de Luz... to nazwisko uderzyło mnie... w po-
łowie angielskie, w połowie francuskie... albo hisz-
pańskie...

— A imię?

— Imię... — ruchem wyraził swoją bezradność.

— Nie wie pan, jak wyglądał?

— Nie.

Muszę mu pokazać zdjęcie Gay ze starym Dżord-
żadze i tym, kim, jak mi się zdawało, byłem ja.

— A co robił ten Howard de Luz?

— Gay mówiła mi, że pochodził ze szlacheckiej
rodziny... Nic nie robił.

Zaśmiał się lekko.

— Ale... ale... nich pan poczeka... Coś sobie przy-
pominam... Długo przebywał w Hollywood... I tam,
jak opowiadała mi Gay, był osobistym sekretarzem
aktora Johna Gilberta.

— Osobistym sekretarzem Johna Gilberta?

— Tak... Pod koniec życia Gilberta.

Samochody szybko płynęły przez avenue de New-
-York; nie było słycać warkotu silników, co potęgo-
wało moje wrażenie, że to sen. Jechały z głuchym,
płynnym szumem, jak gdyby ślizgały się po wodzie.
Dotarliśmy do przejścia dla pieszych przy moście de
l'Alma. Howard de Luz. Istniała pewna szansa, że to
było moje nazwisko. Howard de Luz. Tak, te sylaby
coś we mnie budziły. Coś równie ulotnego jak po-
świata księżycy na byle przedmiocie. Jeśli byłem tym
Howardem de Luz, wykazałem się w życiu pewną
fantazją, skoro wśród tylu mniej lub bardziej za-

szczytnych i pociągających zawodów wybrałem stanowisko „osobistego sekretarza Johna Gilberta”.

Tuż przy Musée d'Art Moderne skręciliśmy w małą uliczkę.

— Mieszkam tutaj — powiedział.

W windzie nie było światła, a w chwili gdy zaczęliśmy się wznosić, zgasło też światło w klatce schodowej. W ciemności słyhać było śmiechy i muzykę.

Winda zatrzymała się i domyśliłem się, że Blunt po omacku usiłuje otworzyć drzwi na klatkę schodową. Otworzył je; wychodząc z windy potraściłem go, bo ciemność była nieprzenikniona. Śmiechy i muzyka dochodziły właśnie z piętra, na którym wysiedliśmy. Blunt przekręcił klucz w zamku.

Zostawił za nami wpół uchylone drzwi; znaleźliśmy się na środku przedpokoju, słabo oświetlonego nie osłoniętą niczym żarówką zwisającą u sufitu. Blunt stał zmieszany. Pomyślałem, czy nie powinienem pożegnać się i odejść. Muzyka była ogłuszająca. Z głębi mieszkania wyszła młoda ruda kobieta w czerwonym kąpielowym płaszczu. Zdziwionym wzrokiem popatrzyła na nas obu. Szlafrok, bardzo tandetny, rozchyłał się jej na piersiach.

— Moja żona — powiedział Blunt.

Skinęła mi lekko głową i obiema rękami zebrała kołnierz szlafroka przy szyi.

— Nie wiedziałam, że wrócisz tak wcześnie — rzekła.

Staliśmy wszyscy troje bez ruchu pod żarówką, która sączyła nam na twarze blade światło; spojrzałem na Blunta.

— Powinnaś mnie była uprzedzić — zwrócił się do niej.

— Nie wiedziałam...

Dziewczynka schwytna na oczywistym kłamstwie.

Spuściła głowę. Ogłuszająca muzyka ucichła i rozległa się melodia, na saksofonie, tak czysta, że zdawała się rozcieńczać w powietrzu.

— Dużo was jest? — zapytał Blunt.

— Nie, nie... trochę znajomych...

W uchylonych drzwiach za nią ukazała się głowa o bardzo krótkich jasnych włosach i jasno umalowanych, prawie różowych wargach. Potem druga głowa, śniadego bruneta. W świetle żarówki twarze te wyglądały jak maski, brunet uśmiechał się.

— Muszę wrócić do moich gości... Przyjdź za dwie albo trzy godziny.

— Dobrze — powiedział Blunt.

Wyszła z przedpokoju za tamtymi dwojgiem, zamykając drzwi. Usłyszeliśmy wybuchy śmiechu i tupot pościgu. Potem znów ogłuszająca muzyka.

— Idziemy — rzekł do mnie Blunt.

Znowu znaleźliśmy się na schodach. Blunt włączył światło i usiadł na stopniu. Dał mi znak, żebym zrobił to samo.

— Żona jest znacznie młodsza ode mnie... Trzydzieści lat różnicy... Nie należy nigdy żenić się z kobietą o tyle młodszą... Nigdy...

Położył mi rękę na ramieniu.

— To nigdy nie wychodzi na dobre... Nie było jeszcze takiego przypadku... Niech pan to sobie zapamięta, mój drogi...

Światło zgasło. Blunt najwyraźniej nie miał ochoty go włączyć. Zresztą ja także nie.

— Gdyby Gay mnie zobaczyła...

Na tę myśl wybuchnął śmiechem. Dziwnie zabrzmiał ten śmiech w ciemności.

— Nie poznałaby mnie... Przybyło mi od tego czasu co najmniej trzydzieści kilogramów.

Znowu śmiech, ale inny niż poprzedni, bardziej nerwowy, wymuszony.

— Byłaby wielce zawiedziona... Pojmuje pan? Pianista w hotelowym barze...

— Dlaczego zawiedziona?

— W dodatku za miesiąc będę bezrobotny...

Ścisnął mnie za ramię.

— Gay wyobrażała sobie, że stanę się drugim Cole Porterem...

Nagle okrzyki kobiet. Dochodziły z mieszkania Blunta.

— Co się dzieje? — spytałem.

— Nic, bawią się.

Głos męski darł się: „Otwórz mi, Dany! Otwierasz, Dany?!” Śmiechy. Trzaśnięcie drzwiami.

— Dany to moja żona — szepnął mi Blunt.

Wstał i włączył światło.

— Wyjdźmy odetchnąć świeżym powietrzem.

Przecieliśmy esplanadę przy Musée d'Art Moderne i usiedliśmy na schodach. Widziałem poniżej samochody sunące przez avenue de New-York; jedyny znak, że życie jeszcze nie zamarło. Dokoła nas wszystko było wyludnione i zakrzepłe. Nawet wieża Eiffla, którą dostrzegłem na drugim brzegu Sekwany, wieża Eiffla, której widok był zazwyczaj tak krzepiący, przypominała stertę wypalonego żelastwa.

— Tu można oddychać — powiedział Blunt.

Istotnie ciepły podmuch owiewał esplanadę, mroczne plamy posągów i wysokie kolumny w głębi.

— Chciałbym pokazać panu te fotografie — powiedziałem do Blunta.

Wyjąłem z kieszeni kopertę i wydobyłem z niej dwa zdjęcia: to, gdzie była Gay ze starym Dżordźdże i człowiekiem, w którym, jak mi się wydawało, rozpoznawałem siebie, i to, gdzie była małą dziewczynką. Podałem mu pierwszą fotografię.

— Tu nic nie widać — mruknął Blunt.

Pstryknął zapalniczką, ale musiał to zrobić kilka-

krotnie, bo płomyk gasł na wietrze. Osłonił go dłonią i zbliżył zapalniczkę do fotografii.

— Widzi pan tego człowieka na zdjęciu? — zapytałem. — Po lewej... Całkiem na lewo...

— Widzę.

— Czy pan go zna?

— Nie.

Pochylił się nad fotografią, trzymając dłoń przy czole, osłaniając nią niby daszkiem płomyk zapalniczki.

— Nie sądzi pan, że on jest do mnie podobny?

— Nie wydaje mi się.

Przyglądał się jeszcze chwilę fotografii i zwrócił mi ją.

— Gay właśnie tak wyglądała, gdy ją poznałem — powiedział ze smutkiem.

— A tutaj ma pan jej fotografię z czasów dzieciństwa.

Podąłem mu drugie zdjęcie; przyjrzał mu się w blasku zapalniczki, wciąż z ręką niby daszek u czoła, jak zegarmistrz przy niezwykle precyzyjnej robocie.

— Śliczna z niej była dziewczynka — powiedział. — Nie ma pan innych jej fotografii?

— Niestety nie... A pan?

— Miałem naszą ślubną, ale zgubiłem ją jeszcze w Ameryce... Zastanawiam się nawet, czy zachowałem ten wycinek z gazety... gdy popełniła samobójstwo...

Jego amerykański akcent, zrazu nieuchwytny, stawał się z każdą chwilą wyraźniejszy. Czy to zmęczenie?

— Często musi pan tak czekać przed powrotem do domu?

— Coraz częściej. A jednak wszystko zaczęło się dobrze... Moja żona była bardzo miła...

Z trudem zapalił na wietrze papierosa.

— Gay bardzo by się zdziwiła widząc mnie w tym stanie...

Przysunął się do mnie i oparł mi rękę na ramieniu.

— Czy nie myśli pan, mój drogi, że dobrze zrobiła znikając, nim było za późno?

Popatrzyłem na niego. Wszystko w nim było okrągłe. Twarz, niebieskie oczy, nawet krótko przystrzyżone wąsiki. Również usta i pulchne ręce. Przypominał baloniki, które dzieci trzymają na sznurku, a czasem puszczają, żeby zobaczyć, jak wysoko wzbijają się w niebo. Nawet jego nazwisko, Waldo Blunt, było jakby nadmuchane, niczym jeden z takich baloników.

— Jest mi bardzo przykro, mój drogi... Niewiele mogłem panu powiedzieć o Gay...

Czułem, że przytłacza go zmęczenie i smutek, ale strzegłem go troskliwie w obawie, by za najmniejszym podmuchem wiatru na esplanadzie nie uleciał, zostawiając mnie samego z moimi pytaniami.

VIII

Aleja biegnie wzdłuż pola wyścigowego w Auteuil. Z jednej strony tor jeździecki, z drugiej bloki mieszkalne zbudowane według jednego szablonu i podzielone skwerkami. Minąłem te luksusowe koszary i zatrzymałem się pod domem, gdzie popełniła samobójstwo Gay Orłów, avenue du Maréchal-Lyautey 25. Na którym piętrze? Z pewnością jest już inna konsjerżka. Czy pozostał wśród lokatorów ktoś, kto spotykał Gay Orłów na schodach albo wsiadał z nią do windy? A może ten ktoś rozpoznałby mnie, jeśli tu często bywałem?

W pewne wieczory szedłem może z bijącym sercem schodami domu przy avenue du Maréchal-Lyautey 25.

Na które piętro? Czekala na mnie. Jej okna wychodziły na pole wyścigowe. Dziwnie musiały wyglądać wyścigi z góry; malutkie konie z dżokejami przesuwały się jak figurki na strzelniczy, a kto trafił w te wszystkie ruchome cele, ten otrzymywał główną nagrodę.

Jakim językiem mówiliśmy z sobą? Po angielsku? Czy fotografię ze starym Dżordżadze zrobiono w tym mieszkaniu? Jak było umeblowane? O czym mogli rozmawiać niejaki Howard de Luz — ja? — „ze szlacheckiej rodziny”, „osobisty sekretarz Johna Gilberta” i eks-tancerka urodzona w Moskwie, która w Palm Island znała Lucky Luciana?

Dziwni ludzie, po ich przejściu pozostaje tylko szybko rozplywający się obłok. Często rozmawialiśmy z Huttem o tych istotach, których ślady nagle się urywają. Pewnego pięknego dnia wyłaniają się z nicności, by wrócić do niej olśniewszy świat paroma błyskotkami. Królowe piękności. Żigolaki. Motyle. Wiele z tych osób nawet za życia nie miało większej konsekwencji niż para wodna, która nigdy się nie skropi. Hutte jako przykład podawał osobnika, którego nazywał „człowiekiem plaż”. Czterdzieści lat spędził on na plażach i basenach kąpielowych na miłych rozmowach, wśród letników i bogatych próżniaków. Gdzieś z boku lub na drugim planie tysięcy wakacyjnych zdjęć figuruje w trykocie kąpielowym wśród wesołych gromadek, ale nikt nie potrafiłby powiedzieć, jak się nazywał i dlaczego się tam znalazł. I nikt nie zauważył, gdy pewnego dnia znikł z wakacyjnych fotografii. Nie śmiałem wyznać tego Huttemu, ale w moim przekonaniu ja byłem „człowiekiem plaż”. Zresztą Hutte nie zdziwiłby się, gdybym mu to powiedział. Często mawiał, że w gruncie rzeczy wszyscy jesteśmy „ludźmi plaż” i że „piasek — cytuję jego słowa — tylko przez parę sekund zachowuje ślady naszych kroków”.

Jedna z fasad kamienicy przytykała do zaniedbanego skweru. Wielka kępa drzew, krzewów, od dawna nie strzyżony trawnik. Jakieś samotne dziecko bawiło się spokojnie przed wzgórkim piasku w to późne słoneczne popołudnie. Siadłem przy trawniku i podniosłem głowę ku domowi zastanawiając się, czy okna Gay Orłów wychodziły właśnie na tę stronę.

IX

Jest noc, lampa z opalizującego szkła tworzy jasną plamę światła na skórce biurka Huttego. Siedzę w Agencji przy tym biurku. Wertuję stare i nieco nowsze Bottiny i stopniowo notuję swoje odkrycia:

Howard de Luz (Jean Simety) i małżonka Mabel, z domu Donahue, Valbreuse, Orne, tel. 21 i ul. Raynouard 23, tel. AUT 15-28. — CGP — MA

Wydanie Bottina, gdzie znajduje się ta wzmianka, ukazało się trzydzieści lat temu. Czyżby chodziło o mojego ojca?

Te same dane powtarzają roczniki Bottina w latach następnych. Przeglądam listę znaków i skrótów.

oznacza krzyż wojenny; CGP — Club du Grand Pavois; MA — Motor Yacht Club na Lazurowym Wybrzeżu; — właściciel żaglowca.

Ale w dziesięć lat później znikają informacje: ul. Raynouard 23, tel. AUT 15-28. Znika również: Motor Yacht Club i żaglowiec.

W następnym roku pozostaje tylko: Mabel Howard de Luz, z domu Donahue, Valbreuse, Orne, tel. 21.

A potem już nic.

Przeglądam z kolei książki telefoniczne z ostatniego dziesięciolecia. Każdorazowo nazwisko Howard de Luz podane jest w następujący sposób:

Howard de Luz C., Square Henri-Paté 3 (XVI),
tel. MOL 50-52.

Brat? Kuzyn?

W informatorach „towarzyskich” Bottina z tych
lat nie ma żadnej wzmianki na ten temat.

X

— Pan Howard oczekuje pana.

Była to na pewno sama właścicielka tej restauracji
na ulicy Bassano: brunetka z jasnymi oczyma. Dała
mi znak, żebym poszedł z nią, zeszliśmy schodami
i zaprowadziła mnie w głąb sali. Zatrzymała się przy
stoliku, gdzie samotnie siedział jakiś mężczyzna.
Wstał i powiedział:

— Claude Howard.

Wskazał mi krzesło naprzeciw. Usiedliśmy.

— Spóźniłem się. Przepraszam.

— Nie ma za co.

Patrzył na mnie ciekawie. Czy mnie poznawał?

— Ogromnie zaintrygował mnie pański telefon —
powiedział.

Usiłowałem się uśmiechnąć.

— A zwłaszcza pańskie zainteresowanie rodziną
Howard de Luz... której jestem, drogi panie, ostat-
nim przedstawicielem...

Wymówił te słowa tonem ironicznym, jakby sam
z siebie szydził.

— Zresztą każe się nazywać krótko: Howard. To
mniej skomplikowane.

Podał mi kartę z jadłospisem.

— Nie musi pan zamawiać tego samego, co ja.
Prowadzę dział gastronomiczny w jednej z gazet...
Muszę jeść specjalności firmy... Nerkówka cieleca
i zupa rybna...

Westchnął. Był naprawdę zniechęcony.

— Mam już tego dość... Cokolwiek by się działo w moim życiu, zawsze moim obowiązkiem jest jeść...

Już podawano mu pasztet na grzance. Ja zamówiłem sałatę i owoce.

— Szczęściaż z pana... Ja muszę jeść... Wieczorem mam napisać artykuł... Wracam z konkursu na najlepiej przyrządzone flaczki... Zasiadałem w jury. Trzeba było wmusić w siebie sto siedemdziesiąt rodzajów flaków w ciągu półtora dnia...

Nie umiałem odgadnąć, w jakim jest wieku... Bardzo ciemne włosy miał zaczesane do góry, oczy brązowe i mimo niezwykle bladej skóry coś negroidalnego w rysach twarzy. Byliśmy sami w tej części restauracji, mieszczącej się w suterenie, gdzie bladoniebieskie boazerie, atłasy i kryształy tandetnie naśladowały wiek osiemnasty.

— Zastanawiałem się nad tym, co mi pan powiedział przez telefon... Tym Howardem de Luz, którym pan się interesuje, może być tylko mój kuzyn Freddie...

— Naprawdę tak pan sądzi?

— Jestem pewny. Ale ja prawie go nie znam...

— Freddie Howard de Luz?

— Tak, jako dzieci czasem bawiliśmy się razem.

— Nie ma pan jego fotografii?

— Nie mam.

Przełknął kęs tego pasztetu na grzance, hamując odruch wstrętu.

— Nie był nawet moim stryjecznym bratem... Krewny drugiego, a może i trzeciego stopnia... Bardzo mało było tych Howardów de Luz... Zdaje się, że tylko mój ojciec i ja, Freddie i jego dziadek... To rodzina francuska z wyspy Mauritius, wie pan...

Znużonym gestem odsunął talerz.

— Dziadek Freddie'ego ożenił się z Amerykanką, bardzo bogatą...

— Mabel Donahue?

— Właśnie... Mieli wspaniałą posiadłość w departamencie Orne...

— W Valbreuse?

— Ależ z pana istny Bottin, drogi panie.

I rzucił mi zdziwione spojrzenie.

— Ale później, jak mi się zdaje, stracili wszystko... Freddie wyjechał do Ameryki... Nie potrafię panu powiedzieć nic dokładniejszego... Znam to wszystko tylko ze słyszenia... Nie wiem nawet, czy Freddie jeszcze żyje...

— Jak by się o tym dowiedzieć?

— Gdyby żył mój ojciec... Od niego miewałem te rodzinne wiadomości... Niestety...

Wyjąłem z kieszeni fotografię Gay Orłow ze starym Dżordżadze i wskazałem mu czarnowłosego mężczyznę, który był do mnie podobny.

— Nie zna pan tego człowieka?

— Nie.

— Nie wydaje się panu, że jest do mnie podobny?

Pochylił się nad fotografią.

— Może i jest — powiedział bez przekonania.

— A tej blondynki pan nie zna?

— Nie.

— A jednak była ona przyjaciółką pańskiego kuzyna Freddie'ego.

Nagle jak gdyby coś sobie przypomniał.

— Zaraz... coś mi świta... Freddie wyjechał do Ameryki... I tam, zdaje się, został osobistym sekretarzem aktora Johna Gilberta...

Osobisty sekretarz Johna Gilberta. Po raz drugi podawano mi ten szczegół, co jednak niewiele posuwało sprawę naprzód.

— Wiem o tym, bo wtedy napisał do mnie z Ameryki kartkę...

— Czy pan ją zachował?

— Nie, ale tekst pamiętam do dzisiaj: „Wszystko układa się dobrze. Ameryka to piękny kraj. Znalazłem pracę. Jestem osobistym sekretarzem Johna Gilberta. Serdeczne wyrazy dla Ciebie i Twego ojca. Freddie”. Zafrapowało mnie to.

— Nie widział się pan z nim po jego powrocie do Francji?

— Nie. W ogóle nie wiedziałem, że wrócił do Francji.

— A gdyby stanął w tej chwili przed panem, czy by go pan poznał?

— Może i nie.

Nie śmiałem sugerować mu, że Freddie Howard de Luz to ja. Nie miałem na to jeszcze formalnego dowodu, ale nie traciłem nadziei.

— Znałem Freddie'ego, kiedy miał dziesięć lat... Ojciec zabierał mnie do Valbreuse, żebym się z nim bawił...

Kelner podający wino zatrzymał się przy naszym stoliku i czekał, aby Claude Howard dokonał wyboru, ale ten nie zauważył go i kelner stał sztywno jak żołnierz na warcie.

— Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że Freddie nie żyje...

— Nie trzeba tak mówić...

— To pięknie z pana strony, że interesuje się pan naszą nieszczęśliwą rodziną. Nie powiodło się nam... Jestem chyba jedynym, który z niej pozostał, i sam pan widzi, czego muszę się chwycić, żeby zarobić na życie...

Uderzył pięścią w stół; tymczasem kelnerzy przynieśli zupę rybną, a właścicielka restauracji podeszła do nas z miłym uśmiechem:

— Panie Howard, jak udał się konkurs w tym roku?

Ale nie dosłyszał jej i pochylił się ku mnie.

— W gruncie rzeczy — powiedział — nie powinniśmy byli nigdy opuszczać wyspy Mauritius.

XI

Niewielki stary budynek szarozółty, z każdej strony betonowe, starannie wykonane bariery, za nimi peron, gdzie wysiadłem z kolejki. Plac przed stacją był pusty, tylko po płaskim terenie pod drzewami jakieś dziecko jeździło na wrotkach.

Pomyślałem: „Ja też, dawno temu, bawiłem się tutaj”. Ten cichy plac naprawdę coś mi przypominał. Mój dziadek Howard de Luz wyjeżdżał po mnie do wieczornego pociągu z Paryża albo, przeciwnie, to ja w letnie wieczory z moją babką, Mabel Donahue z domu, oczekiwałem go na peronie. Trochę dalej szosa, szeroka jak autostrada, ale bardzo mało na niej samochodów. Przeciąłem park miejski, otoczony takim samym betonowym ogrodzeniem, jakie widziałem na placu Dworcowym.

Po drugiej stronie szosy parę sklepów pod czymś w rodzaju arkad. Kino. Dalej gospoda ukryta wśród drzew przy łagodnie wznoszącej się alei. Skierowałem się tam bez wahania, bo wcześniej przestudiowałem plan Valbreuse. Przy końcu tej obsadzonej drzewami alei mur i okratowana bramka, na niej tabliczka ze spróchniałego drzewa; odgadując połowę liter zdołałem odczytać: „Zarząd Dóbr Państwowych”. Za bramką rozciągał się zaniedbany trawnik. Całkiem w głębi długi budynek z cegły i kamienia w stylu Ludwika XIII. Środkowa część, wyższa o jedno piętro, była wysunięta do przodu, a fasadę po obu

bokach uzupełniały pawilony zwieńczone kopułami. Wszystkie okiennice były zamknięte.

Ogarnął mnie wielki smutek: może w tym zamku przeżyłem dzieciństwo. Pchnąłem żelazną furtkę i bez trudu ją otworzyłem. Od jak dawna nie przekraczałem tych progów? Po prawej stronie zauważyłem budynek z cegły, zapewne stajnie.

Trawa sięgała mi do kolan, więc starałem się iść jak najkrótszą drogą w kierunku zamku. Ta milcząca budowla intrygowała mnie. Bałem się, że za fasadą nie zobaczę nic prócz wysokiego zielska i zrujnowanych murów.

Ktoś na mnie wołał. Obejrzałem się. Od stajen jakiś człowiek dawał mi znaki ręką. Szedł ku mnie, a ja przystanąłem pośrodku trawnika podobnego do dżungli i patrzyłem na niego. Dość wysoki, masywny, w ubraniu z zielonego sztruksu.

— Czego pan sobie życzy?

Zatrzymał się parę kroków ode mnie. Brunet, z wąsami.

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś o panu Howardzie de Luz.

Podszedłem bliżej. Może mnie pozna? Za każdym razem ta sama nadzieja i ten sam zawód.

— Który pan Howard de Luz?

— Freddie.

Powiedziałem „Freddie” głosem niepewnym, jakby to było moje imię, które wymówiłem po latach zapomnienia.

Wytrzeszczył oczy.

— Freddie...

W tej chwili naprawdę zdawało mi się, że on zwraca się do mnie po imieniu.

— Freddie? Ależ on już tutaj nie mieszka.

Nie, nie poznał mnie. Nikt mnie nie poznawał.

— Czego pan właściwie sobie życzy?

— Chciałbym się dowiedzieć, co się dzieje z Freddie'm Howardem de Luz.

Przyjrzał mi się podejrzliwie i włożył rękę do kieszeni w spodniach. Może wyjmie broń i wymierzy we mnie. Ale nie. Wyciągnął z kieszeni chustkę i otarł nią czoło.

— Kim pan jest?

— Poznałem Freddie'ego w Ameryce, dawno temu, i chciałbym się o nim czegoś dowiedzieć.

Na to kłamstwo twarz nagle mu się rozjaśniła.

— W Ameryce? Pan poznał Freddie'ego w Ameryce?

Słowo „Ameryka” najwidoczniej obudziło w nim jakieś tkliwe uczucia. Zdawało się, że gotów mnie ucałować z wdzięczności, że znałem Freddie'ego „w Ameryce”.

— W Ameryce? A więc znał go pan, kiedy był osobistym sekretarzem tego... tego...

— Johna Gilberta.

Cała jego nieufność znikła.

Wziął mnie nawet za ramię.

— Proszę tędy.

Pociągnął mnie w lewo, wzdłuż muru otaczającego zamek, gdzie trawa nie była tak wysoka i gdzie zachował się ślad dawnej drogi.

— Od dłuższego czasu nie mam wiadomości o Freddie'm — powiedział poważnym głosem.

Jego zielone sztruksowe ubranie było miejscami do cna wytarte, a na ramionach, łokciach i kolanach naszyte miał skórzane łąty.

— Pan jest Amerykaninem?

— Tak.

— Freddie przysyłał mi dużo widokówek z Ameryki.

— Czy pan je przechowuje?

— Ma się rozumieć.

Zmierzaliśmy do zamku.

— Pan jeszcze nigdy tutaj nie był? — zapytał.

— Nigdy.

— A skąd pan wziął adres?

— Od kuzyna Freddie'ego, Claude'a Howarda de Luz.

— Nie znam go.

Doszliśmy do jednego ze skrzydeł zwieńczonych kopułą, jakie zauważyłem na obu krańcach zamkowej fasady. Okrążyliśmy budynek. Wskazał mi małe drzwi.

— Tylko tymi drzwiami można się tu dostać.

Przekręcił klucz w zamku. Weszliśmy. Poprowadził mnie przez ciemny i pusty pokój, potem przez długi korytarz. Znaleźliśmy się w pokoju oszklonym kolorowymi szybami, co nadawało mu wygląd kaplicy lub oranżerii.

— To była letnia jadalnia — powiedział.

Żadnych mebli prócz starej kanapy krytej wytartym pluszem, na której usiedliśmy. Wyjął z kieszeni fajkę i bez pośpiechu zapalił. Światło dzienne, sączące się przez szyby, miało odcień bladoniebieski.

Podniosłem głowę i zauważyłem, że sufit był również bladoniebieski, z paroma jaśniejszymi plamami: były to chmury. Poszedł za moim wzrokiem.

— To Freddie malował sufit i ścianę.

Jedyna nie oszklona ściana była pomalowana na zielono i dostrzegłem tam palmę, prawie już zatartą. Próbowałem wyobrazić sobie tę salkę w czasach, kiedy jadalśmy tutaj posiłki. Sufit, na którym wymalowałem niebo. Zielona ściana, gdzie za pomocą tej palmy chciałem wprowadzić nastrój tropików. Kolorowe szyby, przez które sinawe światło padało na nasze twarze. Ale co to były za twarze?

— To jedyny pokój, gdzie jeszcze można wejść — powiedział. — Na wszystkich innych drzwiach są pieczęcie.

— Dlaczego?

— Dom jest pod sekwestrem.

Zmroziły mnie te słowa.

— Wszystko zasekwestrowali, ale mnie zostawili. Tylko na jak długo?

Pociągał z fajki i kiwał głową.

— Od czasu do czasu zjawia się taki jeden z Zarządu Dóbr Państwowych na kontrolę. Ale nie wydaje mi się, żeby oni mieli na coś się zdecydować.

— Jacy oni?

— Ci z Zarządu.

Nie bardzo rozumiałem, co ma na myśli, ale przypomniałem sobie napis na spróchniałej drewnianej tabliczce: „Zarząd Dóbr Państwowych”.

— Pan jest tutaj od dawna?

— A tak... Nastąpiłem po śmierci pana Howarda de Luz... dziadka Freddie’ego... Zajmowałem się parkiem i byłem szoferem jaśnie pani... Babki Freddie’ego...

— A rodzice Freddie’ego?

— Zdaje mi się, że pomarli bardzo młodo. Wychowywał się u dziadków.

A więc wychowywali mnie dziadkowie. Po śmierci dziadka mieszkaliśmy tu sami, ja, babka, Mabel z domu Donahue, i ten człowiek.

— Jak panu na imię? — zapytałem.

— Robert.

— A jak nazywał pana Freddie?

— Jego babka nazywała mnie: Bob. Była Amerykanką. Tak samo mówił do mnie Freddie.

Imię Bob nic mi nie przypominało. Ale przecież on także mnie nie poznał.

— Potem babka umarła. Już przedtem finansowo nie wiodło się im za dobrze... Dziadek Freddie’ego

roztrwonil majątek żony... Był to duży majątek amerykański...

Wolno pociągał z fajki i smugi niebieskiego dymu wznosiły się do sufitu. Ten oszklony pokój z malunkami Freddie'ego — może moimi? — na ścianie i na suficie był na pewno jego ucieczką.

— Potem Freddie zniknął... bez uprzedzenia... Nie wiem, co się stało. Ale wszystko znalazło się pod sekwestrem.

Znowu te słowa „pod sekwestrem”, jak drzwi gwałtownie zatraskiwane przed nosem właśnie w chwili, gdy mamy wejść.

— I odtąd czekam... Zastanawiam się, co oni chcą ze mną zrobić... Mimo wszystko nie mogą mnie wyrzucić na ulicę.

— Gdzie pan mieszka?

— W dawnych stajniach. Kazał je zbudować dziadek Freddie'ego.

Przyglądał mi się, z fajką w zębach.

— A pan? Proszę mi opowiedzieć, jak poznał się pan z Freddie'm w Ameryce.

— O, to długa historia.

— Nie miałyby pan ochoty przejść się trochę? Pokazałbym panu park z tej strony.

— Chętnie.

Otworzył oszklone drzwi i zesliśmy po paru kamiennych stopniach. Znaleźliśmy się przed trawnikiem, jak ten, przez który próbowałem przebrnąć w drodze do zamku, ale tutaj roślinność nie była tak bujna. Ku memu zdziwieniu ta część gmachu, zbudowana z szarego kamienia, wcale nie harmonizowała z fasadą; również dach był inny: urozmaicały go ścięte narożniki i szczyty, tak że budynek, wyglądający od frontu na zamek w stylu Ludwika XIII, od tyłu przypominał uzdrowiskowe domy z końca wieku

dziewiętnastego, których nieliczne okazy można jeszcze obejrzeć w Biarritz.

— Staram się jako tako utrzymać tę stronę parku — rzekł. — Ale to za wiele na jednego człowieka.

Szliśmy żwirową aleją równoległą do trawnika. Na lewo od nas krzewy, na wysokość człowieka, były starannie przycięte. Wskazał mi je.

— To labirynt. Zasadził go dziadek Freddie'ego. Pielęgnuję go jak tylko mogę. Niech przynajmniej coś zostanie tak, jak było.

Weszliśmy do „labiryntu” jednym z bocznych wejść i schyliliśmy się pod niskim zielonym sklepieniem. Przecinały się tam liczne aleje, urządzone były rozdroża, rondo, zakręty półkoliste albo pod kątem prostym, ślepe uliczki, altanka, a w niej zielona drewniana ławka... Jako dziecko może bawiłem się tu w chowanego z dziadkiem albo z rówieśnikami i zapewne w tym magicznym labiryncie, pachnącym sosną i ligustrem, przeżyłem najpiękniejsze chwile mojego istnienia. Kiedy wyszliśmy z labiryntu, nie mogłem się powstrzymać i powiedziałem do mego przewodnika:

— Ciekawe... Ten labirynt coś mi przypomina.

Ale on, zdaje się, nie usłyszał...

Na skraju trawnika do starych zardzewiałych słupów przyśrubowane były dwie huśtawki.

— Pan pozwoli..

Usiadł na jednej z huśtawek i znowu zapalił fajkę. Ulokowałem się na drugiej. Słońce zachodziło i łagodnym, lekko pomarańczowym światłem powlekało trawnik, żywopłot labiryntu, rzucało jasne cętki na szary kamień zamku.

Wybrałem tę chwilę, aby pokazać mu fotografię, na której byliśmy: Gay Orłow, stary Dżordżadze i ja.

— Czy zna pan tych ludzi?

Długo przyglądał się zdjęciu, nie wyjmując fajki z ust.

— O, tę dobrze znałem...

Dotknął wskazującym palcem twarzy Gay Orłow.

— Rosjanka...

W głosie jego była jednocześnie zaduma i wesołość.

— Pyta mnie pan, czy znałem tę Rosjankę...

Zaśmiał się krótko.

Freddie w ostatnich latach często z nią tutaj przyjeżdżał... Cholerna dziewczyna... Blond włosy... Mogę panu powiedzieć, że piła tęgo... Pan ją znał?

— Tak — odpowiedziałem. — Widywałem ją z Freddie'm w Ameryce.

— To on poznał Rosjankę w Ameryce?

— Tak.

— Więc ona mogłaby panu powiedzieć, gdzie jest teraz Freddie... Ją trzeba było zapytać...

— A ten czarny facet obok Rosjanki?

Pochylił się lekko nad fotografią i bacznie się jej przyjrzał. Serce mocno mi biło.

— Ależ tak... Jego także znałem... Niech pan poczeka... Ależ tak... To był przyjaciel Freddie'ego... Przyjeżdżał tutaj z Freddie'm, Rosjanką i jeszcze jedną dziewczyną... Wydaje mi się, że pochodził z Ameryki Południowej czy coś w tym rodzaju.

— Nie sądzi pan, że jest podobny do mnie?

— Tak... owszem — powiedział bez przekonania.

A zatem było już jasne, że nigdy nie nazywałem się Freddie Howard de Luz. Patrzyłem na zaniedbany trawnik, którego jeden skraj oświetlały jeszcze promienie zachodzącego słońca. Nie przechadzałem się nigdy po tym trawniku u boku babki Amerykanki. Nigdy jako dziecko nie bawiłem się w „labiryncie”. Tych zardzewiałych dzisiaj słupów nie wbito dla mnie. Szkoda.

— Powiedział pan: z Ameryki Południowej?

— Tak... Ale mówił po francusku jak pan i ja.

— I często go pan tutaj widywał?

— Bardzo często.

— A skąd pan wiedział, że on pochodzi z Ameryki Południowej?

— Bo jednego razu pojechałem po niego samochodem do Paryża. Mieliśmy się spotkać w miejscu jego pracy, w jednej z ambasad Ameryki Południowej...

— W której?

— No, za dużo pan ode mnie wymaga...

Musiałem się oswoić z tą zmianą sytuacji. Nie byłem już potomkiem rodziny, której nazwisko figurowało w kilku starych Bottinach i w książkach telefonicznych, lecz kimś z Ameryki Południowej, osobnikiem, którego ślady będą znacznie trudniejsze do odszukania.

— Wydaje mi się, że on był przyjacielem Freddie'ego z lat dziecińczych...

— Przyjeżdżał tutaj z jakąś dziewczyną?

— Tak. Dwa albo trzy razy. To była Francuzka. Przyjeżdżali w czwórkę z Rosjanką i Freddie'm... Po śmierci babki...

Wstał.

— Może wrócilibyśmy do domu? Zaczyna się robić zimno...

Noc prawie już zapadła, więc znów usiedliśmy w „letniej sali jadalnej”.

— To był ulubiony pokój Freddie'ego... Wieczorami długo tu przesiadywał z Rosjanką, z tym Amerykaninem i drugą dziewczyną...

Kanapa była już tylko niewyraźną plamą, cienie na suficie układały się w kształt plecionek i rombów. Na próżno usiłowałem wyłowić echa naszych dawnych wieczorów.

— Ustawili tutaj bilard... W bilard grała przede

wszystkim dziewczyna tego z Ameryki Południowej... Stale wygrywała... Mogę to panu powiedzieć, bo grałem z nią wiele razy... Widzi pan, bilard jeszcze tam stoi...

Pociągnął mnie w ciemny korytarz, zaświecił kieszonkową latarkę i weszliśmy do wyłożonego kamiennymi płytami westybulu, gdzie zaczynały się monumentalne schody.

— Główne wejście...

Pod schodami rzeczywiście zobaczyłem stół bilaradowy. Oświetlił go latarką. Biała kula na środku, jak gdyby partię przerwano i lada chwila zamierzano do niej powrócić. I jak gdyby ktoś z nas — Gay Orłow, ja, Freddie, tajemnicza Francuzka, która tu ze mną bywała, czy też Bob — już pochylał się, aby w nią wycelować.

— Widzi pan, bilard wciąż tutaj stoi...

Omiótł światłem latarki monumentalne schody.

— Nie warto iść na górę... Wszystko opieczętowane...

Pomyślałem, że Freddie miał pokój na górze. Pokój małego chłopca, potem młodzieńca, z półkami książek, fotografiami na ścianach i — któż to wie — na jednej z nich byliśmy może wszyscy czworo albo tylko Freddie ze mną, ramię przy ramieniu. Bob wsparł się o bilard, żeby znowu zapalić fajkę. W zamyśleniu patrzyłem na wielkie schody, na które nie warto było się zapuszczać, bo na górze „wszystko opieczętowane”.

Wyszliśmy małymi bocznymi drzwiami, które zamknął na dwa spusty. Było ciemno.

— Muszę zdążyć na pociąg do Paryża — powiedziałem.

— Proszę ze mną.

Wziął mnie pod ramię i prowadził pod murem otaczającym zamek. Doszliśmy do starych stajen. Otwo-

rzył jakieś oszklone drzwi i zapalił lampę naftową.

— Dawno już wyłączyli światło... Ale zapomnieli zamknąć wodę...

Byliśmy w pokoju, gdzie na środku stał stół z ciemnego drzewa i wyplatane krzesła. Na ścianach fajansowe talerze i miedziane naczynia. Wypchana głowa dzika nad oknem.

— Dam panu coś w prezencie.

Podszedł do skrzyni w głębi pokoju, otworzył ją, wyjął jakieś pudełko i położył je na stole; na przykrywce widniał napis: „Biszkopty Lefebvre Utile — Nantes”. Potem stanął przede mną.

— Był pan przyjacielem Freddie’ego, co? — zapytał wzruszonym głosem.

— Tak.

— No więc dam panu to...

Wskazał pudełko.

— To są pamiątki po Freddie’m... Drobiazgi, które udało mi się uratować, kiedy przyszli nałożyć pieczęcie na całą tę budę...

Był naprawdę przejęty. Może nawet miał łzy w oczach.

— Bardzo go lubilem... Znałem go od małego... To był marzyciel. Stale mi powtarzał, że kupi żagłowiec... Mówił: „Bob, będziesz moim drugim oficerem”... Bóg wie, gdzie się teraz podziewa... o ile jeszcze żyje...

— Odnajdziemy go — powiedziałem.

— Był zanadto rozpieszczony przez babkę, wie pan... — I podał mi pudełko. — Pomyślałem o Stiopie Diagoriewie i jego czerwonym pudełku. Widocznie wszystko kończyło się w starych pudełkach po czekoladzie lub biszkoptach. Albo po cygarach.

— Dziękuję.

— Odprowadzę pana do pociągu.

Poszliśmy leśną aleją, jego latarka rzucała przed

namí wiązkę światła. Czy nie pomylił drogi? Miałem wrażenie, że zagłębiamy się w las.

— Staram się przypomnieć sobie imię przyjaciela Freddie'ego. Tego, którego pokazał mi pan na fotografii... Był z Ameryki Południowej...

Przecięliśmy polanę, gdzie trawa fosforyzowała w blasku księżyca. Dalej rysowała się kępa pinii. Zgasił latarkę, bo jasno było jak w dzień.

— Tutaj Freddie jeździł konno z innym przyjacielem... dżokejem... Nigdy nie wspominał panu o tym dżokeju?

— Nigdy.

— Nie pamiętam już jego nazwiska... A przecież on był sławny... Był dżokejem u dziadka Freddie'ego, kiedy stary miał stajnię wyścigową...

— Ten z Południowej Ameryki również znał dżokeja?

— Ma się rozumieć. Przyjeżdżali tutaj razem. Dżokej grywał z innymi w bilard... Myślę nawet, że to on poznał Freddie'ego z Rosjanką...

Bałem się, że nie zapamiętam tych wszystkich szczegółów. Należało je natychmiast zapisać w notesie.

Droga łagodnie wspinała się pod górę; szedłem z trudnością po grubej warstwie zeschniętych liści.

— Czy przypomniał pan sobie imię tego z Południowej Ameryki?

— Zaraz... zaraz... coś mi się snuje po głowie...

Przyciskałem do boku pudełko po biszkoptach; chciałem jak najprędzej przekonać się, co zawiera. Może znajdę tam odpowiedź na niektóre pytania, nazwisko moje albo na przykład dżokeja.

Staliśmy na skraju zbrocza i wystarczyło zejść w dół, aby znaleźć się na placu Dworcowym; oświetlona neonami poczekalnia wydawała się pusta. Jakiś

rowerzysta przejechał powoli i zatrzymał się przed stacją.

— Zaraz... już wiem... miał na imię Pedro...

Wciąż staliśmy na skraju zbrocza. Znowu wyjął fajkę, oczyścił ją jakimś małym tajemniczym narzędziem. Powtarzałem sobie imię, które nadano mi przy urodzeniu, imię, którym nazywano mnie przez jakiś okres mojego życia i które dla kilku osób kojarzyło się z moją twarzą. Pedro.

XII

Nic szczególnego w tym pudełku po biszkoptach. Ołowiany żołnierz-dobosz, z którego złuszczyła się farba. Czterolistna koniczyna przyklejona pośrodku białej koperty. Fotografie.

Na dwóch odnalazłem siebie. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że to ten sam człowiek, który figuruje obok Gay Orłow i starego Dżordżadze. Wysoki brunet, ja, z tą tylko właściwie różnicą, że bez wąsów. Na jednym z tych zdjęć stoi przy mnie człowiek równie młody, równie wysoki, ale o jaśniejszych włosach. Freddie? Tak, bo na odwrocie zdjęcia ktoś napisał „Pedro — Freddie — La Baule”. Stoiśmy na brzegu morza w płaszczach kąpielowych. Zdjęcie najwidoczniej bardzo stare.

Na drugiej fotografii jest nas czworo: Freddie, ja, Gay Orłow, którą łatwo rozpoznałem, i jeszcze jakaś młoda osoba, wszyscy siedzą na ziemi, oparci plecami o czerwoną pluszową kanapę w letniej jadalni. Z prawej strony można dojrzeć bilard.

Trzecia fotografia przedstawia młodą osobę, widoczną na zbiorowej fotografii w letniej jadalni. Stoi przy stole bilardowym, trzymając oburącz kij. Jasne

włosy. spadają poniżej ramion. Czy to ją właśnie przywoziłem do zamku Freddie'ego? Na innym zdjęciu wspiera się łokciami o balustradę werandy.

Kartka pocztowa zaadresowana do pana Roberta Brun „z listami państwa Howard de Luz. Valbreuse, Dep. Orne”, przedstawia port nowojorski. Czytam: „Kochany Bob! Pozdrowienia z Ameryki. Do zobaczenia wkrótce. Freddie”.

Jest też dziwny dokument z nadrukiem: „Consulado General de la Republica Argentina”.

Nr 106

Konsulat Generalny Republiki Argentyny we Francji, reprezentujący interesy Grecji w strefie okupowanej, zaświadcza, że w czasie Wielkiej Wojny 1914-1919 archiwa miejskie w Salonikach zostały zniszczone przez pożar.

Paryż, 15 lipca 1941

Konsul generalny Republiki Argentyny, reprezentujący interesy Grecji.

U dołu podpis: „R. L. de Oliveira Cezar, Konsul Generalny”.

Ja? Nie. On nie ma na imię Pedro.

Mały wycinek z gazety:

Licytacja publiczna

mienia Howarda de Luz na wniosek Administracji Dóbr Państwowych w Valbreuse (Orne), Château Saint-Lazare

w dniach 7 i 11 kwietnia.

Duża ilość nieruchomości

Dzieła sztuki

Meble stylowe i nowoczesne

Obrazy — Porcelana — Ceramika

Dywany — Pościel — Bielizna stołowa

Fortepian firmy Erard
Lodówka itd.

Oglądać: w sobotę 6 kwietnia w godz. 14—18 i przed
południem w dniu licytacji w godz. 10—12.

Otwieram kopertę z naklejoną czterolistną koni-
czyną. Zawiera cztery małe zdjęcia, typowe fotografie
z automatu; jedna przedstawia Freddie'ego, druga
mnie, trzecia Gay Orłow i — czwarta — młodą
osobę o jasnych włosach.

Jest tam również nie wypełniony paszport Repu-
bliki Dominikańskiej.

Odwróciwszy przypadkiem fotografię młodej jasno-
włosej kobiety, przeczytałem napisane niebieskim
atramentem, tym samym niedbałym charakterem co
pocztówka z Ameryki: „Pedro: ANJou 15-28”.

XIII

W ilu agendach figuruje jeszcze numer telefonu,
który należał do mnie? Może to numer biura, gdzie
można mnie było zastać tylko po południu?

Nakręcą ANJou 15-28. Sygnał odzywa się paro-
krotnie, ale nikt nie odpowiada. Czy został jakiś ślad
po mnie w pustym mieszkaniu, w pokoju od dawna
nie zamieszkanym, gdzie dzisiaj telefon dzwoni na
próżno?

Nie muszę nawet zwracać się do biura numerów.
Wystarczy jednym ruchem ręki przekręcić skórzany
fotel Huttego. Przede mną rzędy Bottinów, książek
adresowych i telefonicznych. Jedna z nich, mniejsza
od pozostałych, oprawna jest w wytłaczaną seledy-
nową koźlą skórę. Tej właśnie mi potrzeba. Za-
wiera wszystkie numery telefonów, jakie zarejestro-

wano w Paryżu na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat, oraz odpowiadające im adresy.

Z bijącym sercem przewracam kartki. I czytam: ANJou 15-28, ul. Cambacérès 10 bis (VIII).

Ale Bottin w wykazie według ulic z tego roku w ogóle nie wspomina o tym numerze telefonicznym.

Cambacérès (ulica)

VIII

10 bis Stowarzyszenie Szli-

fierzy Diamentów	M I R	18-16
Salon krawiecki	A N J	32-49
Pilgram Helena	E L Y	05-31
Rebbinder, Firma	M I R	12-08
Schronisko...	A N J	50-52
SEFIC	M I R	74-31
	M I R	74-32
	M I R	74-33

XIV

Człowiek, który na imię miał Pedro. ANJou 15-28. Ulica Cambacérès 10 bis, VIII dzielnica.

Pracował zapewne w jednym z poselstw południowoamerykańskich. Zegar pozostawiony przez Huttego na biurku wskazuje godzinę drugą w nocy. W dole przez avenue Niel rzadko już przejeżdżają samochody i tylko czasem słyszę zgrzyt hamulców pod czerwonym światłem.

Przerzucam kartki starych Bottinów, gdzie na początku znajduje się rejestr ambasad i poselstw, a także spis ich członków.

Republika Dominikana

avenue de Messine 21 (VIII), CARnot 10-18

N..., poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny
Dr Gustavo J. Henriquez, pierwszy sekretarz
Dr Salvador E. Paradas, drugi sekretarz (z małżonką),
ul. d'Alsace 41 (X)
Dr Bienvenido Carrasco, attaché, ul. Decamps 45 (XVI),
tel. TRO 42-91

Wenezuela

ul. Copernic 11 (XVI), PASsy 72-29

Biura: ul. de la Pompe 115 (XVI), PASsy 10-89
Dr Carlo Aristimuno Coll, poseł nadzwyczajny i mini-
ster pełnomocny
Jaime Picon Febres, radca
Antonio Maturib, pierwszy sekretarz
Antonio Briuno, attaché
Pułkownik H. Lopez-Mendez, attaché wojskowy
Pedro Saloaga, attaché handlowy

Gwatemala

plac Joffre 12 (VII), tel. SEGur 09-59

Adam Maurisque Rios, radca, chargé d'affaires (ad in-
terim)
Ismiael Gonzales Arevalo, sekretarz
Frederico Murgo, attaché

Ekwador

avenue de Wagram 91 (XVII), tel. ETOile 17-89

Gonzalo Zaldumbide, poseł nadzwyczajny i minister
pełnomocny (z małżonką)
Alberto Puig Arosemena, pierwszy sekretarz (z ma-
łżonką)
Alfredo Gangotena, trzeci sekretarz (z małżonką)
Carlos Guzman, attaché (z małżonką)

Victor Zevallos, radca (z małżonką), avenue d'Iéna 21
(XVI)

Salwador

Riquez Vega, poseł nadzwyczajny
Major J.H. Wishaw, attaché wojskowy (z córką)
F. Capurro, pierwszy sekretarz
Luis...

Litery skaczą mi przed oczyma. Kim jestem?

XV

Skręcacie w lewo i zadziwia¹ was cisza i pustka tego odcinka ulicy Cambacérès. Ani jednego samochodu. Minąłem jakiś hotel i oczy moje olśnił blask mnóstwa kryształów u wejścia. Świeciło słońce.

Numer 10 bis to wąska czteropiętrowa kamienica. Wysokie okna na pierwszym piętrze. Na przeciwległym chodniku stoi policjant.

Jedno skrzydło bramy było otwarte, paliło się światło. Długi korytarz o szarych ścianach. Na końcu drzwi z kwadratowymi małymi szybami, z trudem je otworzyłem. Na piętro prowadziły nagie schody.

Zatrzymałem się przed drzwiami na pierwszym piętrze. Postanowiłem pytać lokatorów każdego piętra, czy mieli kiedykolwiek numer telefonu ANJou 15-28, i czułem skurcz w gardle, bo zdawałem sobie sprawę z dziwaczności mojego postępowania. Na drzwiach mosiężna tabliczka, na której przeczytałem: Helena Pilgram.

Dzwonek słaby i tak wysłużony, że zacichał raz

po raz. Możliwie najdłużej naciskałem go wskazującym palcem. Drzwi się uchyliły. W szparze ukazała się twarz kobiety z krótko ostrzyżonymi, popielatosiwymi włosami.

— Przepraszam panią. Chodzi mi o pewną informację...

Patrzyła na mnie bardzo jasnymi oczyma. Trudno by określić jej wiek. Trzydzieści lat, pięćdziesiąt?

— Czy dawny numer pani telefonu był ANJou 15-28?

Zmarszczyła brwi.

— Tak. A o co chodzi?

Otworzyła drzwi. Miała na sobie męski szlafrok z czarnego jedwabiu.

— Dlaczego pan o to pyta?

— Bo... Ja tutaj mieszkałem...

Wyszła na klatkę schodową i przyglądała mi się uporczywie szeroko otwartymi oczyma.

— Ależ... pan jest... pan McEvoy?

— Tak — powiedziałem na chybił trafił.

— Proszę wejść.

Wydawała się naprawdę poruszona. Staliśmy naprzeciw siebie, na środku przedpokoju, którego parkiet był bardzo zniszczony. Niektóre klepki zastąpiono kawałkami linoleum.

— Niewiele się pan zmienił — powiedziała z uśmiechem.

— Pani również.

— Pan jeszcze mnie sobie przypomina?

— Bardzo dobrze panią pamiętam — powiedziałem.

— To miło...

Jej oczy patrzyły na mnie łagodnie.

— Proszę bliżej...

Weszła przede mną do bardzo wysokiego i obszernego pokoju; na te właśnie okna zwróciłem uwagę

stojąc na ulicy. Podłogę, równie zniszczoną jak w przedpokoju, tu i ówdzie przykrywały białe wełniane chodniki. Jesienne słońce poprzez okna wypełniało pokój bursztynowym światłem.

— Proszę usiąść...

Wskazała mi pod ścianą długą, wąską ławę zarzuconą aksamitnymi poduszkami. Siadła po mojej lewej stronie.

— To dziwne: tak niespodzianie znowu pana zobaczyć.

— Byłem w tej dzielnicy — powiedziałem.

Wydawała mi się młodsza niż w chwili, gdy ukazała się w uchylonych drzwiach. Najmniejszej zmarszczki w kącikach ust, dokoła oczu, na czole; ta gładka twarz kontrastowała z siwymi włosami.

— Mam wrażenie, że zmieniła pani kolor włosów — zaryzykowałem.

— Ależ nie... byłam siwa już w dwudziestym roku życia... Wolałam zachować ten kolor...

Oprócz pluszowej ławeczki niewiele tu było mebli. Prostokątny stół pod przeciwległą ścianą. Stary manekin pomiędzy dwoma oknami, z torsem okrytym brudnobeżowym kawałkiem materiału: jego zaskakująca obecność kojarzyła się z pracownią krawiecką. Zresztą w kącie pokoju zauważyłem na stoliku maszynę do szycia.

— Czy poznaje pan mieszkanie? — zapytała. — Proszę popatrzeć... Przechowuję te rzeczy...

Ruchem ręki wskazała manekin.

— To wszystko zostawiła Deniza.

Deniza?

— Rzeczywiście — powiedziałem — niewiele się tutaj zmieniło...

— A Deniza? — spytała niecierpliwie. — Co się z nią dzieje?

— Niestety — odrzekłem — od dawna się z nią nie widziałem.

— Ach tak...

Minę miała rozczarowaną i skinęła głową, jak gdyby rozumiała, że nie należy mówić o tej Denizie, przez delikatność.

— Ale przecież — odezwałem się — pani także od dawna zna Denizę?...

— Tak... Poznałam ją przez Leona...

— Przez Leona?

— Leona Van Allen.

— Ależ oczywiście — powiedziałem zmieszany jej tonem, tonem niemal wyrzutu, kiedy imię Leon nie skojarzyło mi się z owym Leonem Van Allen.

— A co się dzieje z Leonem Van Allen? — zapytałem.

— Och... od dwóch czy trzech lat nie mam już od niego wiadomości... Wyjechał do Gujany holenderskiej, do Paramaribo... Założył tam szkołę tańca...

— Tańca?

— Tak. Leon, nim zabrał się do krawiectwa, był tancerzem... Pan o tym nie wiedział?

— Wiedziałem, owszem. Ale zapomniałem.

Przechyliła się do tyłu, oparła plecami o ścianę i mocniej zawiązała pasek szlafroka.

— A co działo się z panem?

— Ze mną?... Nic...

— Nie pracuje pan już w poselstwie Republiki Dominikany?

— Nie.

— Czy przypomina pan sobie, jak mi pan chciał wydać paszport dominikański?... Mówił pan, że w życiu powinno się być przewidującym i zawsze mieć kilka paszportów...

To wspomnienie wydało się jej zabawne. Krótko się zaśmiała.

— Kiedy miała pani po raz ostatni wiadomości od Denizy?

— Wyjechał pan z nią do Megève i stamtąd napisała parę słów. A potem już nic.

Patrzyła na mnie pytająco, ale widocznie nie miała odwagi zagadnąć mnie wprost. Kim była Deniza? Czy odegrała ważną rolę w moim życiu?

— Widzi pani — powiedziałem — trafiają się chwile, kiedy zdaje mi się, że błędzę w gęstej mgle... Mam luki w pamięci... Okresy depresji... Otóż przechodząc tą ulicą pozwoliłem sobie... wstąpić na górę... i spróbować... przypomnieć sobie te... te...

Na próżno szukałem właściwego słowa, ale nie miało to żadnego znaczenia, bo uśmiechała się, co świadczyło, że nie dziwi jej moje zachowanie.

— Chce pan powiedzieć: przypomnieć sobie te dobre czasy?

— Tak. Właśnie... Te dobre czasy...

Wzięła pozłacane pudełko z niskiego stolika przy tapczanie i otworzyła je. Było pełne papierosów.

— Nie, dziękuję — powiedziałem.

— Już pan nie pali? To są papierosy angielskie. Pamiętam, że palił pan angielskie papierosy... Za każdym razem, gdy widzieliśmy się tutaj, to znaczy trzy razy, przynosił mi pan całą torbę z paczkami angielskich papierosów...

— A tak, to prawda...

— Miał ich pan pod dostatkiem w poselstwie dominikańskim...

Wyciągnąłem rękę do pozłacanego pudełka i wziąłem papierosa w dwa palce: między kciuk i wskazujący. Z lękiem włożyłem go do ust. Podała mi zapalniczkę, zapaliwszy wpierw swojego papierosa. Musiałem próbować parę razy, zanim udało mi się wykrzesać płomień. Wciągnąłem dym. Od razu poczułem bardzo bolesne klucie w piersi i zakaszlałem.

— Już się odzwyczailem — rzekłem.

Nie wiedziałem, jak się pozbyć papierosa, który wciąż trzymałem między kciukiem a palcem wskazującym i który sam się spalał.

— Więc teraz pani mieszka tutaj — powiedziałem.

— Tak. Znowu się wprowadziłam, gdy od Denizy nie było wiadomości... Zresztą ona sama przed wyjazdem powiedziała mi, że mogę odebrać sobie to mieszkanie...

— Przed wyjazdem?

— No tak... zanim wyjechaliście do Megève...

Wzruszyła ramionami, jak gdyby powinno to być dla mnie oczywiste.

— Mam wrażenie, że bardzo krótko przebywałem w tym mieszkaniu...

— Zajmował je pan przez parę miesięcy z Denizą...

— A pani mieszkała tutaj wcześniej niż my?

Popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

— No oczywiście, że tak... To było moje mieszkanie... Odstąpiłam je Denizie, bo musiałam opuścić Paryż...

— Przepraszam... Myślałem o czymś innym.

— Denizie było tu wygodnie... Miała dość miejsca, aby założyć pracownię krawiecką...

Krawcowa?

— Zastanawiam się, dlaczego wyprowadziliśmy się stąd — powiedziałem.

— Ja również...

Znowu to pytające spojrzenie. Ale co mogłem jej wyjaśnić? Wiedziałem mniej niż ona. Po prostu nic o tych wszystkich sprawach nie wiedziałem. Włożyłem wreszcie do popielniczki zwęglony niedopałek, który parzył mi palce.

— Czy widziałem się z panią, zanim my wprowadziliśmy się tutaj? — zaryzykowałem nieśmiało.

— Tak. Dwa albo trzy razy. U pana w hotelu...

— W jakim hotelu?

— Przy ulicy Cambon. Hotel „Castille”. Pamięta pan zielony pokój, który zajmowaliście z Denizą?

— Tak.

— Wyprowadziliście się z hotelu „Castille”, bo nie czuliście się tam bezpiecznie... Czy nie tak było?

— Tak.

— To były naprawdę dziwne czasy...

— Jakie czasy?

Nie odpowiedziała i zapaliła drugiego papierosa.

— Chciałbym pokazać pani parę fotografii — rzekłem.

Wyjąłem z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę, z którą już się nie rozstawałem i w którą włożyłem wszystkie fotografie. Pokazałem jej zdjęcie Freddie'ego Howarda de Luz, Gay Orłow, młodej nie znanej osoby i moje, zrobione w „letniej jadalni”.

— Poznaje mnie pani?

Odwróciła się, aby popatrzeć na fotografie w świetle słońca.

— Tutaj widzę pana z Denizą, ale tych dwojga nie znam...

A więc to jest Deniza.

— Pani nie znała Freddie'ego Howarda de Luz?

— Nie.

— Ani Gay Orłow?

— Nie.

Widocznie życie ludzkie podzielone jest na przegródki i nasi przyjaciele nie znają się wzajemnie. Niestety.

— Mam jeszcze jej dwie fotografie.

Podąłem jej małe zdjęcie paszportowe i drugie, gdzie stoi wsparta łokciami na balustradzie.

— To zdjęcie widziałam — oświadczyła. — Zdaje mi się nawet, że Deniza przysłała mi takie samo z Megève... Ale nie pamiętam, co z nim zrobiłam...

Wyjąłem jej z rąk fotografię i popatrzyłem uważnie. Megève. Za Denizą było małe okno z drewnianą okiennicą. Tak, to mogła być okiennica i balustrada w górskiej willi.

— Wyjazd do Megève to był mimo wszystko dziwny pomysł — odezwałem się nagle. — Czy Deniza mówiła pani, co o tym myśli?

Patrzyła na małe paszportowe zdjęcie. Z bijącym sercem czekałem, kiedy wreszcie odpowie.

Uniosła głowę.

— Tak... Rozmawialiśmy o tym... Powiedziała, że Megève jest miejscem bezpiecznym... i że pan zawsze ma możliwość przekroczenia granicy...

— Tak, oczywiście...

Nie śmiałem brnąć dalej. Skąd tyle lęku i nieśmiałości teraz, gdy zbliżałem się do spraw tak bardzo mnie obchodzących? Ale ona również, widziałem to w jej oczach, czekała, żebym jej coś wyjaśnił. Milczeliśmy oboje. Wreszcie ona zdecydowała się pierwsza:

— Ale co właściwie zaszło w Megève?

Zadała to pytanie w sposób tak natarczywy, że po raz pierwszy w ciągu tej rozmowy poczułem zniechęcenie, a nawet coś więcej niż zniechęcenie — rozpacz, jaka ogarnia człowieka, gdy uświadomi sobie, że pomimo wszelkich wysiłków, atutów i całej dobrej woli znalazł się wobec przeszkody nie do pokonania.

— Wyjaśnię to pani., innym razem...

Musiało być coś dziwnego w moim głosie albo wyrazie twarzy, bo ścisnęła mnie za ramię, jakby chcąc dodać mi otuchy, i powiedziała:

— Niech mi pan wybaczy te niedyskretne pytania... Ale... byłam przyjaciółką Denizy...

— Rozumiem...

Wstała.

— Proszę chwilę zaczekać.

Wyszła z pokoju. Widziałem u swoich stóp plamy światła słonecznego na białym chodniku. Dalej klepki parkietu i prostokątny stół, i stary manekin, niegdyś własność Denizy. Czy to możliwe, aby nie rozpoznać miejsca, w którym się żyło?

Wróciła trzymając coś w ręce. Dwie książki. Notatnik.

— Deniza wyjeżdżając zapomniała to wziąć. Proszę... daję to panu...

Zdziwiłem się, że nie włożyła tych pamiątek do pudełka, jak Stiopa Diagoriew i były ogrodnik matki Freddie'ego. Tak więc po raz pierwszy w ciągu moich poszukiwań nie dawano mi pudełka. Myśl ta rozśmieszyła mnie.

— Co pana tak bawi?

— Nic, drobiazg.

Przyjrzałem się okładkom książek. Na jednej wyłaniała się z niebieskiej mgły twarz Chińczyka z wąsami i w meloniku. Tytuł: „Charlie Chan”. Druga była żółta, a u dołu widniał rysunek przedstawiający maskę przesytą gęsim piórem. Książka miała tytuł: „Anonimy”.

— Dla Denizy każdy kryminał był dobry — powiedziała. — I jest jeszcze to...

Podawała mi mały terminarz oprawny w krokodylą skórę.

— Dziękuję.

Otworzyłem go i przerzuciłem kartki. Nie było żadnych zapisków, żadnych nazwisk ani spotkań. Podane były dni i miesiące, ale nie zaznaczono roku. Znalazłem wreszcie między kartkami jakiś papier i rozłożyłem go:

Republika Francuska
Prefektura Departamentu Sekwany

Wyciąg z metryk urodzenia XIII dzielnicy Paryża
Rok 1917

Dnia 21 grudnia roku tysiąc dziewięćset siedemnastego o godzinie piątej urodziła się przy quai d'Austerlitz 9 bis Denise Yvette Coudreuse, córka Paula Coudreuse i Henrietty Bogaerts, bez zawodu, zamieszkałych jak wyżej.

Dnia 3 kwietnia 1939 zawarła w Paryżu (XVII) związek małżeński z Jimmym Pedro Sternem.

Za zgodność

Paryż — 16 czerwca 1939

— Czy pani to widziała? — zapytałem.

Popatrzyła na dokument ze zdziwieniem.

— Czy pani znała jej męża? Tego... Jimmym Pedra Sterna?

— Deniza nigdy mi nie wspominała, że jest zamężna... A pan o tym wiedział?

— Nie.

Wsunąłem terminarz i metrykę do wewnętrznej kieszeni, wraz z kopertą zawierającą zdjęcia, i nie wiem dlaczego przyszło mi na myśl, aby — gdy tylko będzie to możliwe — ukryć te skarby za podszewką marynarki.

— Dziękuję, że podarowała mi pani te pamiątki.

— Bardzo mi miło, panie McEvoy.

Ucieszyłem się, że powtórzyła moje nazwisko, bo niezbyt wyraźnie usłyszałem, gdy wymówiła je po raz pierwszy. Chciałem je sobie zapisać od razu, ale nie byłem pewny ortografii.

— Bardzo podoba mi się sposób, w jaki pani wymawia moje nazwisko — powiedziałem. — Jest trudne dla Francuzki... A jak je pani pisze? Ludzie zawsze popełniają przy tym błędy ortograficzne...

Zrobiłem przebiegłą minę. Uśmiechnęła się.

— M...c...e duże, v...o...y — przeliterowała.

— Jako jedno słowo? Jest pani tego całkiem pewna?

— Jestem tego całkiem pewna — powiedziała jak gdyby wymykając się z pułapki, jaką jej zasta-
wiłem.

A więc McEvoy.

— Brawo — powiedziałem.

— Nigdy nie robię błędów ortograficznych.

— Pedro McEvoy... Co prawda, dziwne nazwisko,
nie uważa pani? Chwilami samego mnie to dziwi...

— Zaraz... Byłabym o tym zapomniała — rzekła.

Wyjęła z kieszeni kopertę.

— To ostatnia wiadomość, jaką otrzymałam od
Denizy.

Rozłożyłem kartkę papieru i przeczytałem:

Megève, 14 lutego

Droga Heleno!

Rzecz postanowiona. Jutro ja i Pedro przekraczamy
granicę. Napiszę do ciebie stamtąd, jak tylko będzie to
możliwe.

Tymczasem podaję ci numer telefonu kogoś w Paryżu,
dzięki komu będziemy mogli korespondować:

Oleg de Wrédé, AU Teuil 54-73.

Całuję cię

Deniza

— I pani telefonowała?

— Tak, ale za każdym razem mówiono mi, że tego
pana nie ma w domu.

— Kto to był ten... Wrédé?

— Nie wiem. Deniza przedtem nigdy mi o nim nie
wspominała.

Słońce powoli opuściło pokój. Zaświeciła małą
lampę na niskim stoliku przy tapczanie.

— Chętnie bym zobaczył pokój, w którym miesz-
kałem...

— Ależ to zrozumiałe... ;

Poprowadziła mnie przez korytarz i otworzyła drzwi po prawej stronie.

— To tutaj — powiedziała. — Nie używam tego pokoju. Sypiam w gościnnym... Wie pan, w tym, którego okno wychodzi na podwórze...

Zatrzymałem się w progu. Było jeszcze dosyć jasno. Po obu stronach okna wisiały ciemnoczerwone firanki. Na ścianach tapety w bladoniebieski deseń.

— Poznaje pan?

— Tak.

W głębi pod ścianą tapczan. Podeszedłem i usiadłem.

— Czy mógłbym przez chwilę pozostać sam?

— Naturalnie.

— To mi przypomni „dobre czasy”...

Rzuciła mi smutne spojrzenie i skinęła głową.

— Zrobię herbaty...

Wyszła, a ja rozejrzałem się dokoła. W tym pokoju parkiet również był zniszczony i brakowało klepek, ale dziur nie pozatykano. Na ścianie naprzeciw okna biały marmurowy kominek, a powyżej lustro, każdy róg jego złoczonej ramy zwijał się w muszelkę. Wyciągnąłem się w poprzek tapczanu i przyjrzałem się sufitowi, a potem deseniom na tapetach. Niemal przytknąłem czoło do ściany, aby mi nie umknął żaden szczegół. Sceny wiejskie. Dziewczęta w misternych perukach bujające się na huśtawkach. Pasterze w krótkich bufiastych spodenkach, grający na mandolinach. Wysokopienny las w świetle księżyca. Nie budziło to we mnie żadnych wspomnień, a przecież musiałem znać te sceny na pamięć, skoro sypiałem na tym tapczanie. Na suficie, na ścianach i koło drzwi szukałem jakiejś wskazówki, jakiegokolwiek śladu, sam nie bardzo wiem czego. Ale nic nie zatrzymało na sobie mojego wzroku.

Wstałem i podeszedłem do okna. Spojrzałem w dół.

Na ulicy było pusto i ciemniej niż w chwili, kiedy

tutaj wchodziłem. Policjant wciąż tkwił na posterunku po przeciwnej stronie ulicy. Kiedy zwróciłem głowę w lewo, zobaczyłem plac, również pusty, i na nim innych policjantów. Wydawało się, że okna tych wszystkich kamienic, wchłaniają zapadającą powoli ciemność. Te okna były czarne i najwidoczniej nikt za nimi nie mieszkał.

Wtedy poczułem w sobie jak gdyby stuk wprawionego w ruch mechanizmu. Widok z tego pokoju budził we mnie obawę, strach, którego już kiedyś doznawałem. Te fasady, pusta ulica, sylwetki czuwające w zmierzchu dręczyły mnie jak dobrze niegdyś znana melodia czy perfumy. I byłem pewny, że często o tej właśnie godzinie stawałem tutaj na czatach bez ruchu, bez najmniejszego gestu, nie mając nawet odwagi zapalić lampy.

Kiedy wróciłem do saloniku, wydało mi się, że nie ma tam nikogo, ale ona leżała na pluszowej ławeczce. Spała. Podeszedłem po cichu i siadłem na drugim końcu ławeczki. Pośrodku białego chodnika taca z imbrykiem i dwiema filiżankami. Chrząknąłem. Nie obudziła się. Nalałem więc herbaty do obu filiżanek. Była zimna.

Lampa przy ławeczce pozostawiała w cieniu znaczną część pokoju, słabo rysowały się stół, manekin i maszyna do szycia, rzeczy, które pozostawiła tutaj Deniza. Jak spędzaliśmy wieczory w tym pokoju? Jak się tego dowiedzieć?

Piłem herbatę małymi łykami. Nasłuchiwałem jej niemal nieuchwytnego oddechu, ale w pokoju było tak cicho, że najlżejszy odgłos czy szept rozległby się z niepokojącą wyrazistością. Po co ją budzić? Nie mogła mi nic ważnego powiedzieć. Odstawiłem filiżankę na chodnik.

Podłoga skrzywnęła mi pod nogami właśnie w chwili, gdy wychodziłem do przedpokoju.

Po omacku poszukałem wyjścia, potem kontaktu w klatce schodowej. Zamknąłem drzwi jak mogłem najciszej. Kiedy otwierałem następne, te z kwadratowymi szybkami, aby przejść przez szary korytarz, znowu odezwał się we mnie ów stukot wprawionego w ruch mechanizmu, który odczułem wyglądając przez okno w pokoju. Wejście oświetlała żarówka z kloszem u sufitu, rzucając biały blask. Powoli oswajałem się z tym zbyt jaskrawym światłem. Stałem wpatrując się w szare ściany i błyszczące szybki.

Doznałem wrażenia, jakie pozostawiają ulotne wizje, które po przebudzeniu staramy się uchwycić, aby odtworzyć cały sen. Widziałem siebie, jak idę przez ciemny Paryż, otwieram bramę tego domu przy ulicy Cambacérès i, oślepiony, przez parę sekund nie widzę nic — tak bardzo białe światło przy wejściu kontrastowało z ciemnością na dworze.

Kiedy to było? Czy wtedy, gdy nazywałem się Pedro McEvoy i wracałem tutaj co wieczór? Czy rozpoznawałem to wejście, wielką prostokątną rogóżkę, klosz u sufitu otoczony miedzianym krążkiem? Za kwadratowymi szybkami drzwi widziałem początek schodów i miałem ochotę wejść nimi powoli na górę, aby odtworzyć dawne gesty i odbyć dawną drogę.

Wydaje mi się, że w sieniach domów można jeszcze usłyszeć echo kroków ludzi, którzy stale je mijali, a których już nie ma. Coś dalej wibruje po ich przejściu, fale coraz słabsze, ale ktoś uważny potrafi je uchwycić. W gruncie rzeczy może nigdy nie byłem tym Pedrem McEvoy, byłem niczym, lecz te fale teraz przenikały mnie, raz dalekie, raz silniejsze, te wszystkie rozproszone w powietrzu echa krystalizowały się, i to byłem ja.

XVI

Hotel „Castille” przy ulicy Cambon. Naprzeciwko recepcji mały salon. W oszklonej szafce bibliotecznej historia Restauracji, której autorem jest L. de Viel-Castel. Któregoś wieczoru, zanim poszedłem do swego pokoju, może zabrałem jeden z tych tomów i przez zapomnienie zostawiłem w nim jako zakładkę list, fotografię albo telegram. Ale nie mam odwagi prosić portiera, aby pozwolił mi przekartkować siedemnaście tomów w poszukiwaniu tych śladów.

W głębi hotelu podwórze zamknięte murem z zieloną kratą, po której pnie się bluszcz. Podwórze wyłożone jest kostką barwy piasku na korcie tenisowym. Ogrodowy stół i krzesła.

A więc tutaj mieszkałem z Denizą Coudreuse. Czy okno naszego pokoju wychodziło na ulicę Cambon, czy na podwórze?

XVII

Quai d'Austerlitz 9 bis. Dom trzypiętrowy, brama otwiera się na sień o żółtych ścianach. Kawiarnia z szyldem: „Marynarska”. Za oszklonymi drzwiami tabliczka z jaskrawoczerwonym napisem: „Men spreekt vlaamch”.

Z dziesięć osób tłoczyło się przy kontuarze. Zająłem jeden z wolnych stolików pod przeciwległą ścianą, na której wisiało wielkie zdjęcie portu: Antwerpia, jak głosił napis u dołu.

Klienci przy kontuarze mówili bardzo głośno. Zapewne wszyscy pracowali w tej dzielnicy i teraz pili wieczorny aperitif. Obok oszklonych drzwi wyjściowych bilard elektryczny, przy którym stał człowiek w granatowym ubraniu i krawacie, co wyróżniało go

spośród innych, którzy mieli na sobie wiatrówki, skórzane kurtki albo bluzy robocze. Grał spokojnie, ospale pociągając za uchwyt.

Dym z papierosów i fajek szczypał mnie w oczy i pobudzał do kaszlu. W sali unosiła się woń smalcu.

— Czym można służyć?

Nie zauważyłem, kiedy się do mnie zbliżył. Myślałem nawet, że nikt nie podejdzie, aby spytać, czego sobie życzę, bo obecność moja przy stoliku w głębi sali zdawała się nikogo nie obchodzić.

— Espresso — powiedziałem.

Był to człowiek niski, około sześćdziesiątki, z siwymi włosami, z twarzą przekrwioną, zapewne od różnych aperitifów. Jasnoniebieskie oczy wydawały się jeszcze bardziej wyblakłe przy jaskrawoczerwonej cerze. Było coś wesołego w tej fajansowej bieli, czerwieni i niebieskości.

— Przepraszam... — odezwałem się, gdy już miał odejść w stronę kontuaru. — Co znaczy napis na drzwiach?

— *Men spreekt vlaamch?*

Powiedział to zdanie dźwięcznym głosem.

— Tak.

— Znaczy: „Tu mówi się po flamandzku”.

Nie dodał nic więcej i kołyszącym się krokiem odszedł do bufetu. Bezceremonialnie odsuwał ręką klientów, którzy tarasowali mu przejście.

Wrócił z filiżanką kawy, którą trzymał w obu wyciągniętych rękach, jakby z wielkim wysiłkiem starał się nie upuścić jej na ziemię.

— Proszę, jest kawa.

Postawił filiżankę na środku stolika dysząc jak maratończyk na mecie.

— Przepraszam... Czy panu to coś mówi... Coudreuse?

Zadałem to pytanie zniecka.

Osunął się na krzesło naprzeciw mnie i skrzyżował ramiona.

Wciąż dyszał głośno.

— O co chodzi? Pan znał... Coudreuse'a?

— Nie, ale słyszałem o nim od mojej rodziny.

Jego twarz przybrała ceglastą barwę i pot perlił się na skrzydełkach nosa.

— Coudreuse... Mieszkał tu na górze, na drugim piętrze...

Mówił z lekkim obcym akcentem. Przełknąłem łyk kawy, z postanowieniem, że pozwolę mu mówić, bo jakieś następne pytanie mogłoby go spłoszyć.

— Pracował na dworcu Austerlitz... Jego żona pochodziła z Antwerpii, jak ja...

— Miał córkę, prawda?

Uśmiechnął się.

— Tak. Ładna dziewczyna... Znał ją pan?

— Nie, ale słyszałem o niej...

— Co się z nią dzieje?

— Właśnie próbuję się dowiedzieć.

— Przychodziła tutaj codziennie rano po papierosy dla ojca. Coudreuse palił papierosy belgijskie „Laurens”...

Pograżył się w tych wspomnieniach i zdaje mi się, że jak ja nie słyszał głosów i wybuchów śmiechu ani trzaskającego obok nas jak karabin maszynowy bilardu.

— Fajny gość był z tego Coudreuse... Często jadłem z nimi obiady na górze... Rozmawiałem po flamandzku z jego żoną...

— Nie ma pan od nich żadnych wiadomości?

— On zmarł... Jego żona wróciła do Antwerpii... I zamaszycie przeciągnął ręką po stole.

— To bardzo dawne czasy...

— Mówi pan, że przychodziła po papierosy dla ojca... Jakiej marki?

— „Laurens”.

Miałem nadzieję, że zapamiętam tę nazwę.

— Dziwna dziewczyna... kiedy miała dziesięć lat, już rozgrywała partie bilardu z moimi klientami...

Wskazał drzwi w głębi kawiarni, zapewne prowadzące do sali bilardowej. A zatem tutaj nauczyła się tej gry.

— Niech pan zaczeka — rzekł. — Coś panu pokazę...

Podniósł się z trudem i podszedł do kontuaru. Znowu odsunął ręką wszystkich, którzy stali mu na drodze. Większość gości miała na głowie czapki marynarskie i mówiła dziwnym językiem, zapewne flamandzkim. Przypomniały mi się przycumowane w dole, przy bulwarze d'Austerlitz, barki, które widocznie przybyły z Belgii.

— Proszę... Niech pan popatrzy...

Usiadł naprzeciwko i podał mi magazyn mód; dziewczyna na okładce miała kasztanowate włosy, jasne oczy i coś azjatyckiego w rysach. Natychmiast ją poznałem: Deniza. Miała na sobie czarne bolero i trzymała w ręce orchideę.

— To Deniza, córka Coudreuse'a... Widzi pan... Ładna dziewczyna... Pracowała jako modelka... Znałem ją od dziecka...

Okładka magazynu była poplamiona i posklejana scotchem.

— Dziś jeszcze ją widzę, jak przychodziła po te „Laurensy”...

— Czy nie była... krawcową?

— Nie. Chyba nie.

— I pan naprawdę nie wie, co się z nią stało?

— Nie.

— A nie ma pan adresu jej matki w Antwerpii?

Pokręcił przecząco głową. Minę miał bardzo smutną.

— To wszystko już skończone, mój drogi...

Dlaczego?

— Czy pan zechciałby mi pożyczyć ten magazyn? — zapytałem.

— Tak, ale jeżeli przyrzeknie mi pan go zwrócić.

— Przyrzekam.

— Zależy mi na nim. To jak gdyby pamiątka rodzinna.

— O której godzinie przychodziła po papierosy?

— Zawsze za piętnaście ósma. Przed pójściem do szkoły.

— Do której szkoły?

— Przy ulicy Jenner. Czasem odprowadzałem ją z jej ojcem.

Sięgnąłem po magazyn, chwyciłem go szybko, z biciem serca, i przesunąłem ku sobie. Mógł przecież zmienić zdanie i nie dać mi go.

— Dziękuję, odniosę jutro.

— Na pewno, co?

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Ale dlaczego pan się tak tym interesuje? Czy jest pan kimś z rodziny?

— Tak.

Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie patrzeć na okładkę magazynu. Deniza wydawała się tutaj trochę młodsza niż na fotografiach, które dostałem wcześniej. W uszach miała kolczyki, a gałązki paproci, dłuższe od orchidei, którą trzymała w ręce, na wpół zakrywały jej szyję. Głębiej widać było wyrzeźbionego w drzewie anioła. U dołu w lewym rogu fotografii następujące słowa wypisane drobnymi czerwonymi literami wyraźnie odcinały się na czerni bolera: „Fot. Jean-Michel Mansoure”.

— Napije się pan czegoś?

— Nie, dziękuję.

— No to kawa będzie ode mnie.

— To bardzo uprzejmie z pana strony.

Wstałem, z magazynem w ręce. Poszedł przodem i utorował mi drogę wśród klientów, których coraz więcej tłoczyło się przy kontuarze. Coś do nich mówił po flamandzku. Dość długo przepychaliśmy się do szklanych drzwi. Otworzył je i otarł twarz z potu.

— Nie zapomni mi pan tego oddać, co? — zapytał wskazując magazyn.

Zamknął oszklone drzwi i wyszedł ze mną na ulicę.

— Widzi pan... Oni mieszkali na górze... na drugim piętrze...

W oknach się świeciło. W jednym z pokoi dojrzałem szafę z ciemnego drzewa.

— Teraz mieszkają tam inni lokatorzy...

— W którym pokoju jadał pan z nimi obiady?

— W tym... po lewej stronie...

I wskazał mi okno.

— A pokój Denizy?

— Wychodził na drugą stronę... Na podwórze... Stał obok mnie, zamyślony. Wreszcie podałem mu rękę.

— Do widzenia. Magazyn odniosę.

— Do widzenia.

Wrócił do kawiarni. Patrzył za mną, z dużą czerwoną twarzą przy szybkach. Dym z fajek i papierosów pogrążał klientów przy kontuarze w żółtym obłoku, a potem i ta duża czerwona twarz rozplynęła się powoli we mgle, jaką jego oddech pokrył szyby.

Było ciemno. Godzina, kiedy Deniza wracała ze

szkoły, jeżeli zostawała na zajęciach popołudniowych. Jaką szła drogą? Nadchodziła z prawej strony czy z lewej? Zapomniałem spytać o to właściciela kawiarni. W tym czasie ruch był mniejszy i korony platanów tworzyły zielone sklepienie nad skwerem d'Austerlitz. Sam dworzec, położony trochę dalej, zapewne przypominał dworce miast południowo-zachodniej Francji. Jeszcze dalej Ogród Botaniczny oraz cień i przytłaczająca cisza Hali Winnej pogłębiały spokój tej dzielnicy.

Wszedłem do bramy i zapaliłem światło. Stara kamienna posadzka sieni ułożona była z rombów czarnych i białych. Żelazne pręty wycieraczki. Na żółtej ścianie skrzynki na listy. I wciąż ten zapach smalcu.

Pomyślałem, że jeśli zamknę oczy, jeżeli skoncentruję się przycisnąwszy ręce do czoła, może uda mi się dosłyszeć, z bardzo daleka, stukot jej sandałków na schodach.

XVIII

Wydaje mi się jednak, że po raz pierwszy spotkał się z Denizą w barze hotelowym. Byłem z człowiekiem, którego widać na fotografiach, z Freddie'm Howardem de Luz, moim przyjacielem z dzieciństwa, i z Gay Orłow. Mieszkali przez pewien czas w hotelu, bo właśnie wrócili z Ameryki. Gay Orłow powiedziała mi, że oczekuje przyjaciółki, dziewczyny, którą niedawno poznała.

Szła w naszą stronę i twarz jej od razu mnie uderzyła. Twarz Azjatki, chociaż była prawie blondynką. Oczy bardzo jasne i skośne. Wystające kości policzkowe. Na głowie oryginalny kapelusik podobny do tyrolskiego, włosy dość krótkie.

Freddie i Gay Orłow poprosili nas, żebyśmy chwi-

łę na nich zaczekali, i poszli na górę. Staliśmy naprzeciwko siebie. Uśmiechnęła się.

Nie rozmawialiśmy. Miała jasne oczy, przez które chwilami przemykało coś zielonkawego.

XIX

Mansoure, Jean-Michel, ul. Gabrielle 1, XVIII,
CLI 72-01.

XX

— Proszę mi wybaczyć — powiedział, kiedy usiadłem obok niego przy stoliku w kawiarni na placu Blanche, gdzie, przez telefon, zaproponował mi spotkanie około szóstej po południu. — Proszę wybaczyć, ale umawiam się zawsze na mieście... Zwłaszcza po raz pierwszy... Teraz możemy pójść do mnie...

Rozpoznałem go bez trudu, bo uprzedził mnie, że będzie w ciemnozielonym welwetowym ubraniu i że włosy ma siwe, całkiem białe, ostrzyżone na jeża. To surowe uczesanie kontrastowało z długimi, czarnymi rzęsami, które nieustannie trzepotały, z oczyma kształtu migdałów i kobiecym wykresem ust: górna warga o łagodnym łuku, a dolna pełna i władcza.

Kiedy wstał, zobaczyłem, że jest średniego wzrostu. Włożył płaszcz nieprzemakalny i wyszliśmy z kawiarni.

Gdy znaleźliśmy się na bulwarze Clichy, wskazał mi dom obok „Moulin-Rouge” i powiedział:

— Kiedyś umówiłbym się z panem u Graffa... Tam... Ale tego już nie ma...

Prześliśmy bulwar i skręciliśmy w ulicę Coustou.

Przypieszał kroku rzucając ukradkowe spojrzenia ku niebiesko-zielonym barom przy chodniku z lewej strony, a gdy znaleźliśmy się przy wielkim garażu, już prawie biegł. Zatrzymał się dopiero na rogu ulicy Lepic.

— Przepraszam — powiedział zadyszany — ale ta ulica wywołuje we mnie dziwne wspomnienia... Przepraszam...

Przed chwilą bał się naprawdę. Wydaje mi się nawet, że drżał.

— Zaraz poczuję się lepiej... Teraz wszystko będzie w porządku.

Uśmiechał się patrząc na wznoszącą się przed nami ulicę Lepic z targowiskiem i jasno oświetlonymi sklepami spożywczymi.

Zapusciliśmy się w ulicę des Abbesses. Szedł krokiem spokojnym i swobodnym. Miałem ochotę zapytać, jakie to „dziwne wspomnienia” budzi w nim ulica Coustou, ale nie chciałem być niedyskretny ani też wprawiać go w ten nerwowy stan, który tak mnie zdumiał. I nagle, zanim doszliśmy do placu des Abbesses, znowu przyspieszył kroku. Szedłem po prawej stronie. Kiedy przecinaliśmy ulicę Germain-Pilon, zobaczyłem, że rzuca przerażone spojrzenia ku tej wąskiej ulicy z niskimi i ponurymi domami, która dość stromo opada ku bulwarowi. Ścisnął mi mocno ramię. Uchwycił się mnie, jak gdyby siłą chciał oderwać wzrok od tej ulicy. Pociągnąłem go na przeciwległy chodnik.

— Dziękuję... Wie pan... to bardzo dziwne...

Zawahał się na granicy zwierzenia.

— Dostaję... Dostaję zawrotu głowy, ilekroć znajduję się przy końcu ulicy Germain-Pilon... Mam... Mam ochotę zejść w dół... To silniejsze ode mnie...

— Więc dlaczego pan nie zejdzie?

— Bo... ta ulica Germain-Pilon... Kiedyś było tam...
Było tam takie miejsce...

Urwał.

— Ach... — rzekł z wykrętnym uśmiechem — to bezsensowne z mojej strony... Na Montmartrze tak się zmieniło... Długo by o tym mówić... Nie znał pan dawnego Montmartre'u.

Co on mógł o tym wiedzieć?

Mieszkał przy ulicy Gabrielle, w domu przytykającym do ogrodów Sacré-Coeur. Poszliśmy służbowymi schodami. Dużo czasu zajęło mu otwieranie drzwi: trzy zamki, w których obracał różne klucze z taką dokładnością i skupieniem, jakby chodziło o niezwykle skomplikowaną kombinację cyfr kasy pancерnej.

Mieszkancko miniaturowe. Składało się tylko z saloniku i sypialni, które pierwotnie zapewne tworzyły jeden pokój; teraz oddzielały je zasłony z różowej satyny, podpięte srebrnymi sznurkami. Salon obity był błękitnym jedwabiem; jedyne okno zakrywały firanki tej samej barwy. Gerydony z czarnej laki, na których ustawione były bibeloty z kości słoniowej i z nefrytu, niskie fotele z seledynowym obiciem i wzorzysta kanapa w jeszcze bledszych zielonych tonach nadawały temu wnętrzu wygląd bombonierki. Oświetlonej złożonymi kinkietami.

— Proszę usiąść — zwrócił się do mnie.

Zająłem miejsce na wzorzystej kanapie. Usiadł obok.

— A więc... proszę mi to pokazać...

Wyjąłem z kieszeni marynarki magazyn poświęcony modzie, ze zdjęciem Denizy na okładce. Wziął mi pismo z rąk i założył okulary w grubej szylkretowej oprawie.

— Tak... tak... „Fot. Jean-Michel Mansoure”... To ja... Nie ma najmniejszej wątpliwości...

— Przypomina pan sobie tę dziewczynę?

— Ani trochę. Rzadko pracowałem dla tego pisma... To był magazyn poświęcony sprawom mody... Ja, wie pan, pracowałem przede wszystkim dla „Vogue”...

Starał się podkreślić tę różnicę.

— I nie wie pan nic więcej na temat tego zdjęcia?

Rzucił mi rozbawione spojrzenie. W świetle kinokietów zobaczyłem, że twarz ma usianą drobnymi zmarszczkami i piegami.

— Ależ, drogi panie, zaraz panu wszystko powiem...

Wstał z magazynem w ręce i jednym obrotem klucza otworzył drzwi, których dotychczas nie zauważyłem, bo były obite błękitnym jedwabiem, jak ściany. Prowadziły do małej kłitki. Słyszałem, jak otwiera wiele metalowych szuflad. Po paru minutach wyszedł z kłitki, starannie zamykając drzwi za sobą.

— Proszę — powiedział. — Prowadzę małą kartotekę negatywów. Przechowuję wszystko od początku... Ułożone według lat i w porządku alfabetycznym...

Wrócił na miejsce obok mnie i przejrzał fiszkę.

— Deniza... Coudreuse... O nią chodzi?

— Tak.

— Już nigdy potem nie robiła zdjęć u mnie... Teraz przypominam sobie tę dziewczynę... Nieraz z nią pracował Hoyningen-Huene...

— Kto?

— Hoyningen-Huene, fotograf niemiecki... Ależ tak... Na pewno... Często pracowała z Hoyningen-Huenem...

Ilekróć Mansoure wymawiał to nazwisko złożone z dźwięków tęsknych i żalonych, czułem na sobie jasne oczy Denizy, jak przy pierwszym spotkaniu.

— Mam jej ówczesny adres, jeżeli to pana interesuje...

— Interesuje mnie — powiedziałem nieswoim głosem.

— Ulica de Rome 97, Paryż, XVII dzielnica. Ulica de Rome 97...

Gwałtownie podniósł głowę ku mnie. Twarz miał przeraźliwie bladą, oczy wytrzeszczone.

— Ulica de Rome 97...

— Ale... o co chodzi? — zapytałem.

— Teraz doskonale ją sobie przypominam. Miałem przyjaciela, który mieszkał w tym samym domu...

Patrzył na mnie podejrzliwie i wydawał się równie wzburzony jak wtedy, gdy mijaliśmy ulicę Coustou i górny odcinek ulicy Germain-Pilon.

— Dziwny zbieg okoliczności... Pamiętam to bardzo dobrze... Poszedłem do niej na ulicę de Rome, żeby zrobić zdjęcia, i przy okazji wstąpiłem zobaczyć się z tym przyjacielem... Mieszkał piętro wyżej...

— Był pan u niej?

— Tak. Ale zdjęcia robiliśmy w mieszkaniu mojego przyjaciela... Dotrzymywał nam towarzystwa...

— Co za przyjaciel?

Był coraz bledszy. Bał się.

— Ja... zaraz to panu wyjaśnię... Ale przedtem chciałbym się czegoś napić... na wzmocnienie...

Wstał, podszedł do stolika na kółkach i pchnął go w stronę kanały. Na wierzchu stało parę małych karetek z kryształowymi korkami i srebrnymi blaszkami, z kształtu podobnymi do tych, jakie nosili na szyi żołnierze z orkiestry Wehrmachtu; wyryte na nich były nazwy likierów.

— Mam tylko słodkie alkohole... Czy nie robi to panu różnicy?

— Żadnej.

— Napiję się trochę „Marie Brizard”... a pan?

— Ja również.

Nalał „Marie Brizard” w wąskie kieliszki i kiedy skosztowałem likieru, jego smak skojarzył mi się z jedwabiem, bibelotami z kości słoniowej i dosyć tandetnym złoceniem dokoła. Był samą esencją tego wnętrza.

— Mój przyjaciel, który mieszkał przy ulicy de Rome... został zamordowany...

Ostatnie słowo wyrzekł powściągliwie i na pewno zdobył się na ten wysiłek tylko dla mnie; inaczej nie miałby odwagi użyć tak mocnego określenia.

— Był to Grek z Egiptu... Pisał wiersze, wydał dwie powieści...

— I pan myśli, że Deniza Coudreuse dobrze go znała?

— Och... Musiała spotykać go na schodach — odpowiedział z rozdrażnieniem, bo dla niego ten szczegół nie miał żadnego znaczenia.

— I... To zdarzyło się w tamtym domu?

— Tak.

— Czy Deniza Coudreuse mieszkała tam wtedy?

Nie dosłyszał nawet mojego pytania.

— Stało się to w nocy... Przyprowadził kogoś do siebie... Sprowadzał do siebie byle kogo...

— Schwymano mordercę?

Wzruszył ramionami.

— Nigdy nie udaje się schwytać tego rodzaju morderców... Byłem pewny, że on tak skończy... Gdyby pan widział gęby tych różnych chłopaczków, których wieczorami zapraszał. Bałbym się ich nawet w biały dzień...

Uśmiechał się dziwnym uśmiechem, w którym było jednocześnie wzruszenie i zgroza.

— Jak nazywał się pana przyjaciel? — zapytałem.

— Alek Scouffi. Grek z Aleksandrii.

Podniósł się nagle i odsunął jedwabne błękitne firanki, odsłaniając okno, po czym zajął znów miejsce na kanapie obok mnie.

— Niech mi pan wybaczy... Ale chwilami mam wrażenie, że ktoś ukrywa się za tymi firankami... Może jeszcze trochę „Marie Brizard”? Tak, kropelkę „Marie Brizard”...

Usiłował mówić beztrąsko i ścisnął mnie za ramię, jak gdyby chciał się przekonać, że naprawdę jestem tutaj, koło niego.

— Scouffi przyjechał, żeby osiedlić się we Francji... Poznałem go na Montmartrze... Napisał bardzo ładną książkę pod tytułem „Statek na kotwicy”...

— Ale, proszę pana — powiedziałem stanowczym tonem i wyraźnie artykułując każdą sylabę, aby tym razem musiał usłyszeć moje pytanie — jeżeli, jak pan powiedział, Deniza Coudreuse mieszkała piętro niżej, musiała tamtej nocy słyszeć coś niezwykłego... Chyba przesłuchiowano ją jako świadka.

— Być może.

Wzruszył ramionami. Nie było wątpliwości: Deniza Coudreuse, która dla mnie tyle znaczyła, której najmniejszy gest chciałem poznać, jego wcale nie interesowała.

— Najstraszniejsze jest to, że znam zabójcę... Wprowadzał w błąd swoją anielską twarzą... Chociaż spojrzenie miał jak ze stali... Szare oczy...

Zadrżał. Zdawało się, że człowiek, o którym mówi, jest tutaj, przy nas, i przeszywa go swoimi szarymi oczyma.

— Podły mały łajdak... Ostatni raz widziałem go podczas okupacji w lokalu przy ulicy Cambon... mieszkał się w suterenie. Był z jakimś Niemcem...

Głos mu drżał na to wspomnienie i choć byłem pochłonięty myślą o Denizie Coudreuse, ten piskliwy

głos, ta jakaś wściekła skarga wywarły na mnie wrażenie, które z trudem potrafiłbym uzasadnić, ale które wydawało mi się nieomyślne: w gruncie rzeczy zazdrościł przyjacielowi losu, jaki go spotkał, i miał pretensję do człowieka o szarych oczach, że i jego nie zamordował.

— Żyje dotąd... Mieszka tutaj, w Paryżu... Wiem to od pewnej osoby... Oczywiście nie ma już tej anielskiej twarzy... Chce pan usłyszeć jego głos?

Nie zdążyłem odpowiedzieć na to zaskakujące pytanie: wziął telefon ze skórzanego czerwonego pufu obok i nakręcił numer. Podał mi słuchawkę.

— Zaraz pan usłyszysz... Uwaga... Każe się nazywać „Błękitnym Jeźdźcem”...

Najpierw usłyszałem tylko krótkie i powtarzające się sygnały, co świadczyło, że linia jest zajęta. Następnie w przerwach zacząłem rozróżniać głosy męskie i kobiece, które przesyłały sobie wiadomości: „Maurice i Josy proszą, żeby René zatelefonował.. — Lucien czeka na Jeannota przy ulicy de la Convention... — Pani du Barry szuka partnera... — Alcybiades dzisiaj wieczorem będzie sam”...

Rozmowy nawiązywały się, głosy się szukały mimo regularnie tłumiącego je dzwonięcia. Wszystkie te osoby bez twarzy chciały podawać sobie numery telefonów albo hasła, z myślą o jakimś spotkaniu. W końcu usłyszałem głos dalszy od innych, głos, który powtarzał: „«Błękitny Jeździec» jest dziś wieczór wolny... «Błękitny Jeździec» jest dziś wieczór wolny... Proszę podać numer telefonu... Proszę podać numer telefonu”...

— No więc — zapytał Mansoure — słyszał go pan? Czy go pan słyszał?

Przyciskał teraz słuchawkę do uszu i zbliżył twarz do mojej.

— Numer, który nakręciłem, już od dawna nie na-

leży do nikogo — wyjaśnił. — Więc zorientowali się, że mogą się w ten sposób porozumiewać.

Zamilkł, żeby lepiej słyszeć „Błękitnego Jeźdźca”, a ja pomyślałem, że te wszystkie głosy dochodzą z za świata, że to głosy zmarłych — błędne głosy, które mogły przemawiać do siebie tylko poprzez bezpański numer telefoniczny.

— Przerażające... przerażające... — powtarzał przy-ciskając słuchawkę do ucha. — Ten morderca... Słyszysz pan?

Gwałtownie odłożył słuchawkę. Był zlany potem.

— Pokażę panu fotografię mego przyjaciela, którego ten mały bydlak zamordował... I postaram się znaleźć dla pana jego powieść „Statek na kotwicy”... Musi pan to przeczytać...

Wstał i przeszedł do sypialni, oddzielonej od salonu różowymi satynowymi firankami. Na wpół nimi zakryte, dojrzałem bardzo niskie łóżko, zasłane guanakowym futrem.

Zbliżyłem się do okna i zobaczyłem w dole szyny kolejki linowej na Montmartrze, ogrody Sacré-Coeur, a dalej cały Paryż, jego światła, dachy, cienie. W tym labiryncie ulic i bulwarów spotkaliśmy się kiedyś, Deniza Coudreuse i ja. Nasze szlaki przecięły się wśród mnóstwa tych, po których krążą po Paryżu tysiące i setki tysięcy ludzi, niby tysiące i setki tysięcy malutkich kulek zderzających się czasem na olbrzymim bilardzie elektrycznym. I nie przetrwało z tego nic, nawet świetlna smużka, jaką pozostawia przelot świętojańskiego robaczka.

Mansoure, zdyszany, ukazał się między różowymi zasłonami z książką i plikiem fotosów w ręce.

— Znalazłem!... Znalazłem!...

Był rozpromieniony. Widocznie bał się, że gdzieś mu się zawieruszyły te relikwie. Usiadł naprzeciwko i podał mi książkę.

— Oto jest... Bardzo mi na niej zależy, ale panu pożyczę... Musi pan przeczytać... To piękna książka... I co za intuicja!... Alek przeczuł swoją śmierć.

Twarz mu się zasepiła.

— Dam panu także parę jego zdjęć...

— Nie chce pan zachować ich u siebie?

— Nie, nie! Niech pan będzie spokojny... Mam ich dziesiątki i wszystkie negatywy!...

Chciałem poprosić go, aby wywołał dla mnie parę zdjęć Denizy Coudreuse, ale nie śmiałem.

— Z przyjemnością daję fotografie Aleka komuś takiemu jak pan...

— Dziękuję.

— Wyglądał pan przez okno? Piękny widok, prawda? I pomyśleć, że gdzieś tam żyje morderca Aleka...

Odwróconą dłonią gładził na szybie cały Paryż leżący tam w dole.

— Musi to być teraz staruch... przerażający staruch... uszminkowany...

Jak gdyby poczuł chłód, zacisnął satynowe różowe firanki.

— Wolę o tym nie myśleć.

— Muszę już iść — powiedziałem. — Raz' jeszcze dziękuję za zdjęcia.

— Już mnie pan opuszcza? Może jeszcze kropelkę „Marie Brizard”?

— Nie, dziękuję.

Odprowadził mnie aż do drzwi na służbowe schody, przez przedpokój wysłany granatowym welurem; oświetlały go kinkiety ozdobione girlandami z drobnych kryształów. Koło drzwi zauważyłem na ścianie fotografię mężczyzny w owalnej ramie. Jasnowłosy, z piękną energiczną twarzą i marzycielskimi oczyma.

— Richard Wall... Mój przyjaciel, Amerykanin... Również zamordowany.

Stał przede mną zgarbiony, bez ruchu.

— Byli jeszcze inni — szepnął. — Wielu innych... Gdybym chciał policzyć... Tych wszystkich zmarłych...

Otworzył mi drzwi. Widziałem, że jest przygnę-
biony, więc uściśnałem go.

— Niech się pan tym tak nie przejmuję, mój dro-
gi — powiedziałem.

— Przyjdzie pan jeszcze mnie odwiedzić, prawda?
Czuję się tak samotny... Boję się...

— Przyjdę.

— A przede wszystkim niech pan przeczyta książ-
kę Aleka...

Nagle nabrałem odwagi.

— Gdyby to było możliwe... Czy mógłby mi pan
zrobić parę odbitek... Denizy Coudreuse?

— Ależ oczywiście. Co pan tylko zechce... Proszę
nie zgubić fotografii Aleka. I niech pan uważa na
ulicy...

Zamknął drzwi i usłyszałem, jak kolejno prze-
kręca klucze w zamkach. Stałem przez chwilę na po-
deście. Wyobraziłem sobie, jak wraca przez grana-
towy przedpokój do salonu z zasłonami z różowej
i zielonej satyny. I byłem pewny, że znowu podej-
dzie do telefonu, nakręci numer, przycisnie gorączko-
wo słuchawkę do ucha i z drżeniem będzie w nie-
skończoność łowił dalekie wezwania „Błękitnego
Jeźdźca”.

XXI

Tego ranka bardzo wcześnie wyjechaliśmy odkry-
tym samochodem Denizy, zdaje się, że przez Porte
Saint-Cloud. Widocznie świeciło słońce, bo Deniza
włożyła duży słomkowy kapelusz.

Dojechaliśmy do jakiejś wsi w departamencie Sei-
ne-et-Oise albo Seine-et-Marne i skręciliśmy w dro-

gę lekko schodzącą w dół, obsadzoną drzewami. Deniza zaparkowała wóz przed białą furtką, prowadzącą do ogrodu. Pchnęła furtkę, a ja czekałem na chodniku.

.. Wierzba płacząca pośrodku ogrodu i daleko w głębi parterowy dom. Widziałem, jak Deniza weszła do tego domu.

Wróciła z dziewczynką mniej więcej dziesięcioletnią, która miała blond włosy i popielatą spódniczkę. Wszyscy troje wsiedliśmy do samochodu, dziewczynka z tyłu, ja obok Denizy, która prowadziła. Nie pamiętam już, gdzie jedliśmy obiad.

Ale po południu przechadzaliśmy się po parku w Wersalu i pływaliliśmy łódką wraz z dziewczynką. Słońce odbijające się w wodzie oślepiało mnie. Deniza dała mi swoje ciemne okulary.

Później siedzieliśmy wszyscy troje dokoła stołu pod parasolem, a dziewczynka jadła zielono-różowe lody. Wokół nas dużo osób w letnich strojach. Grała orkiestra. Odwoziliśmy dziewczynkę o zmierzchu. Jadąc przez miasto natrafiliśmy na wesołe miasteczko i zatrzymaliśmy się tam.

Jeszcze teraz widzę opustoszałą o zmierzchu aleję i Denizę z dziewczynką w liliowym elektrycznym samochodziku, który pozostawiał iskrzący się ślad. Śmiały się i dziewczynka dawała mi znaki ręką. Kim była?

XXII

Wieczorem poszedłem do Agencji i pilnie przeglądałem fotografie, które dał mi Mansoure.

Otyły człowiek siedzi pośrodku kanapy. Ma na sobie jedwabny szlafrok haftowany w kwiaty. Między kciukiem a palcem wskazującym prawej ręki

trzyma cygarniczkę. Lewą rękę opiera na otwartej książce, leżącej na kolanach. Jest łysy, ma gęste brwi, powieki opuszczone. Czyta. Nos krótki i gruby, gorzki grymas ust, tłusta, orientalna twarz buldoga. Nad nim wyrzeźbiony w drzewie anioł, którego zauważyłem również na okładce magazynu, za Denizą Coudreuse.

Na drugiej fotografii stoi, ma na sobie białe ubranie z dwurzędową kamizelką, koszulę w paski i ciemny krawat. W lewej ręce ściska gałąkę laski. Zgięte prawe ramię i wpółotwarta dłoń mają w sobie coś pretensjonalnego. Trzyma się bardzo prosto, niemal stoi na czubkach swoich dwukolorowych trzewików. Powoli odrywa się od fotografii, ożywa i widzę, jak utykając idzie bulwarem pod drzewami.

XXIII

Dnia 7 listopada 1965

Dotyczy: Scouffi Aleksander.

Urodzony: Aleksandria (Egipt), 28 kwietnia 1885 r.

Narodowość: grecka.

Aleksander Scouffi przybył do Francji po raz pierwszy w r. 1920.

Kolejne adresy:

ul. de Naples 26, Paryż VIII

ul. de Berne 11, Paryż VIII, pokoje umeblowane

hotel „Chicago”, ul. de Rome 99, Paryż XVII

ul. de Rome 97, Paryż XVII, V piętro.

Scouffi był literatem, opublikował w różnych czasopismach wiele artykułów i wierszy, wydał też dwie powieści: „Hotel Pod Żółtą Rybką” i „Statek na kotwicy”.

Kształcił się również w śpiewie i chociaż nie był zawodowym śpiewakiem, występował w sali Pleyela i w Théâtre de La Monnaie w Brukseli. W Paryżu zwrócił na siebie uwagę policji obyczajowej. Uznano go za osobę niepożądaną i nawet zamierzano wydrzeć go z kraju.

W listopadzie 1924 r., kiedy mieszkał przy ul. de Naples 26, był przesłuchiwany przez policję na okoliczność próby uwiedzenia małoletniego.

Od listopada 1930 do września 1931 mieszkał w hotelu „Chicago”, ul. de Rome 99, z Piotrem D., lat dwadzieścia, żołnierzem 8 pułku saperów w Wersalu. Zdaje się, że Scouffi bywał w specjalnych barach na Montmartrze. Miał znaczne dochody z dóbr odziedziczonych po ojcu w Egipcie.

Zamordowany w swojej garsonierze przy ul. de Rome 97.

Sprawcy nie ujęto.

Dotyczy: de Wrédé Oleg.

AUTEuil 54-73.

Dotychczas nie udało się zidentyfikować osoby noszącej to nazwisko.

Zapewne jest to pseudonim albo nazwisko przybrane.

Może chodzi o obywatela obcego państwa, który krótko przebywał we Francji.

Numer telefoniczny AUTEuil 54-73 nie został nikomu przydzielony od r. 1952. Przez dziesięć lat, 1942-1952, należał do firmy „Garaze Kometa”, ul. Foucauld 5, Paryż XVI. Garaż ten jest zamknięty od 1952 r. i wkrótce na jego miejscu zostanie zbudowany blok mieszkalny.

Notatka załączona do tej kartki pisanej na maszynie:

Oto, drogi panie, wszystkie informacje, jakie udało mi się zebrać. Gdyby potrzebne panu były jeszcze jakieś wiadomości, niech pan bez wahania zwróci się do mnie. Proszę przekazać serdeczne wyrazy Huttemu. Oddany

Jean-Pierre Bernardy

XXIV

Ale dlaczego Scouffi, ten grubas z twarzą buldoga, wyraźniej niż ktokolwiek inny majaczy w mojej

mglistej pamięci? Może z powodu białego ubrania? Żywa plama, jak wówczas, kiedy włączamy radio i wśród trzasków i różnych zakłóceń wybucha muzyka symfoniczna albo czysty timbre ludzkiego głosu...

Pamiętam jasną plamę, jaką tworzyło to ubranie w klatce schodowej, i głuchy, regularny stukot po stopniach jego laski z gałką. Przystawał na każdym podeście. Kilkakrotnie minąłem go, gdy szedłem do Denizy. Dokładnie widzę miedzianą poręcz, beżową ścianę, podwójne, ciemne drzwi do mieszkań. Skąpe światło na piętrach i ta głowa, to jego łagodne i smutne spojrzenie buldoga, kiedy wynurzał się z cienia... Może nawet kłaniał mi się w przejściu.

Kawiarnia na rogu ulicy de Rome i bulwaru des Batignolles. Lato, chodnik staje się przedłużeniem tarasu, siadam przy jednym ze stolików. Jest wieczór. Czekam na Denizę. Ostatnie promienie słońca ociągają się na fasadzie i na szybach garażu po drugiej stronie ulicy de Rome, przy torze kolejowym...

Nagle widzę go, przecina bulwar.

Jest w białym ubraniu, w prawej ręce laska z gałką. Lekko utyka. Oddala się w kierunku placu Clichy, a ja nie spuszczam z oczu tej białej, sztywnej sylwetki pod drzewami. Postać maleje, maleje i wreszcie zacierą się. Wypijam łyk miętówki z wodą, zastanawiając się, po co on tam idzie? Na jakie spotkanie?

Deniza często się spóźniała. Pracowała — wszystko wraca teraz do mnie dzięki tej białej sylwetce oddalającej się bulwarem — pracowała u krawca przy ulicy La Béotie, szczupłego blondyna, o którym później wiele mówiono, a który podówczas dopiero zaczynał. Pamiętam, że na imię miał Jacques, i jeśli zdobędę się na cierpliwość, w biurze Huttego wy-

szukam jego nazwisko w starych rocznikach Bottina. Ulica La Béotie...

Było już ciemno, kiedy przychodziła na taras tej kawiarni, ale nie niecierpliwiłem się; mógłbym jeszcze długo tak siedzieć przy mojej miętówce... Wolałem czekać tutaj, na tarasie, niż w małym mieszkaniu Denizy, tuż obok. Godzina dziewiąta. On swoim zwyczajem szedł przez bulwar. Zdawało się, że jego ubranie fosforyzuje. Deniza i on któregoś wieczora wymienili parę słów pod drzewami alei. To ubranie oślepiającej białości, śniada twarz buldoga, jaskrawozielone liście miały w sobie coś sugestywnego i nierzeczywistego.

Deniza i ja szliśmy w kierunku przeciwnym niż on, przez bulwar de Courcelles. Paryż, przez który wędrowaliśmy wtedy we dwójkę, był równie sugestywny i nierzeczywisty jak fosforyzujące ubranie Scouffiego. Zapuszczaliśmy się w noc pachnącą ligustrem, wzdłuż żelaznego ogrodzenia parku Monceau. Mało samochodów. Światła czerwone i zielone spokojnie zapalały się bez potrzeby; ich sygnały zmieniające barwę były łagodne i harmonijne jak kołysanie się palm.

Prawie przy końcu avenue Hoche, po lewej stronie przed placem Etoile, jak zawsze lśniły wielkie okna na pierwszym piętrze pałacu, w swoim czasie należącego do sir Basila Zaharoffa. Później — a może już wtedy — często zachodziłem tam na pierwsze piętro: biura, zawsze zatłoczone biura. Jedni, stojąc grupami, prowadzili rozmowy, inni gorączkowo telefonowali. Nieustanny ruch i chaos. I wszyscy mieli na sobie okrycia. Dlaczego niektóre szczegóły z przeszłości wyłaniają się w pamięci z fotograficzną dokładnością?

Jadaliśmy kolację w baskijskiej restauracyjce w pobliżu avenue Victor-Hugo. Wczoraj wieczorem

próbowałem ją odnaleźć, ale mi się nie udało. A przecież szukałem w całej dzielnicy. Mieściła się na zbiegu dwóch bardzo cichych ulic i od frontu miała taras, chroniony przez donice z zielenią oraz wielkie czerwono-zielone płócienne story. Dużo ludzi. Słyszę gwar rozmów, brzęk kieliszków, wewnątrz widzę mahoniowy bar, nad którym długi fresk przedstawia pejzaż z Côte d'Argent. I przypominam sobie różne twarze. Wysoki, szczupły blondyn, u którego pracowała Deniza przy ulicy La Béotie i który przysiadł się na chwilę do naszego stolika. Brunet z wąsami, ruda kobieta, inny blondyn, kędzierzawy, który nieustannie się śmiał — ale niestety nie potrafię nadać tym twarzom imion i nazwisk... Łysa czaszka barmana, który przyrządzał koktajl według jemu tylko znanego przepisu... Wystarczyłoby przypomnieć sobie nazwę koktajlu — była to również nazwa restauracji — a obudziłyby się i inne skojarzenia, ale jak tego dokazać...? Wczoraj wieczór, przebiegając te ulice, wiedziałem, że są takie jak dawniej, ale ich nie poznawałem. Nie zmieniły się budynki ani szerokość chodników, ale w tamtych czasach oświetlenie było inne i coś innego unosiło się w powietrzu...

Wracaliśmy tą samą drogą. Często chodziliśmy do dzielnicowego kina, które odnalazłem: „Royal-Villiers” przy placu Lévis. Jest to plac z ławkami, kolumną Morrisa i drzewami; raczej po nich niż po fašadzie kina rozpoznałem to miejsce.

Gdybym pamiętał filmy, któreśmy oglądali, mógłbym dokładnie określić, kiedy się to działo, ale z nich zostały mi tylko mgliste obrazy: sanie sunące po śniegu; kabina statku, do której wchodzi mężczyzna w smokingu; sylwetki tańczące za oszklonymi drzwiami...

Wracaliśmy na ulicę de Rome. Wczoraj wieczorem szedłem nią aż do numeru 97 i wydaje mi się, że

patrząc na kraty, tor kolejowy, a po drugiej jego stronie na reklamę DUBONNET, która zajmuje całą ścianę jednego z domów i której kolory na pewno zdążyły wyblaknąć, doznałem tego samego uczucia lęku, co niegdyś.

Hotel „Chicago” pod numerem 99 nie nazywa się już „Chicago”, ale nikt w recepcji nie umiał mi powiedzieć, kiedy zmienił nazwę. Zresztą nie ma to znaczenia.

Numer 97 to bardzo duży budynek. Scouffi mieszkał na piątym piętrze, więc mieszkanie Denizy znajdowało się niżej, na czwartym. Po prawej czy po lewej stronie domu? Od frontu jest co najmniej ze dwanaście okien na każdym piętrze, tak że mieszczą się tam na pewno po dwa, trzy lokale. Długo przyglądałem się tej fasadzie w nadziei, że poznam jakiś balkon, jakiś zarys lub okiennicę. Nie, to nie budziło we mnie żadnych skojarzeń.

Podobnie klatka schodowa. Obecna poręcz nie jest tą, która pobłyskuje miedzią w moim wspomnieniu. Drzwi prowadzące do mieszkań nie są z ciemnego drzewa. A przede wszystkim światło nie tworzy już tej mgiełki, z której wynurzała się tajemnicza twarz buldoga — Scouffiego. Nie warto pytać konsjerżki. Wzbudziłbym w niej podejrzliwość, a poza tym konsjerżki zmieniają się, jak wszystko.

Czy Deniza mieszkała jeszcze tutaj, gdy zamordowano Scouffiego? Zdarzenie tak tragiczne pozostałoby w nas jakiś ślad, gdybyśmy mieszkali piętro niżej. Otóż w mojej pamięci nie zachowało się nic. Deniza nie mieszkała chyba długo na ulicy de Rome 97, może parę miesięcy. Czy mieszkalem z nią? A może miałem jakieś inne mieszkanie w Paryżu?

Pamiętam jakąś noc, kiedy wróciliśmy bardzo późno. Scouffi siedział na stopniu schodów. Trzymał splecione dłonie na gałce laski, a na nich wspierał

brodę. Twarz mu się jak gdyby zapadła, spojrzenie buldoga wyrażało wielkie przygnębienie. Zatrzymaliśmy się przy nim. Nie widział nas. Chcieliśmy do niego przemówić, pomóc mu wejść na górę, ale siedział nieruchomo jak woskowa figura. Światło zgasło i pozostała już tylko biała fosforyzująca plama jego ubrania.

Wszystko to chyba działo się na samym początku mojej znajomości z Denizą.

XXV

Zgasilem światło, ale zamiast wyjść z biura Huttego stałem jeszcze parę sekund w ciemności. Potem znowu zapaliłem światło i znowu je zgasilem. Zaświeciłem po raz trzeci. I zgasilem. Budziło to we mnie jakieś reminiscencje: widziałem siebie gaszącego światło w pokoju o wymiarach podobnych do tego, w okresie, którego nie potrafiłbym ustalić. I tamten gest powtarzałem co wieczór o tej samej porze.

W świetle latarni stojącej na avenue Niel lśnią drewniane części biurka i fotela Huttego. W tamtym czasie również na parę chwil stawałem bez ruchu po zgaszeniu światła, jak gdybym bał się wyjść. W pokoju była — pod ścianą, w głębi — oszklona szafa biblioteczna, szary marmurowy kominiek z lustrem, biurko z wieloma szufladami, a pod oknem kanapa, gdzie często kładłem się i czytałem. Okno wychodziło na cichą ulicę wysadzoną drzewami.

Był to mały pałacyk, gdzie mieściło się poselstwo jednego z państw Ameryki Łacińskiej. Nie pamiętam, z jakiego tytułu miałem do dyspozycji pokój biurowy w tym poselstwie. Mężczyzna i kobieta, których pra-

wie nie widywałem, zajmowali pokoje obok i sły-
szałem, jak pisali na maszynie.

Przyjmowałem nieliczne osoby, które prosiły
o udzielenie im wiz. Przypomniało mi się to nagle,
gdy grzebałem w pudełku od biszkoptów, które po-
darował mi ogrodnik z Valbreuse, i przeglądałem
paszport Republiki Dominikańskiej oraz fotografie do
dowodów osobistych. Ale działałem w imieniu kogoś,
kogo zastępowałem w tym biurze. Konsula? Char-
gé d'affaires? Wiem, że telefonowałem do niego po
instrukcje. Kto to był?

A przede wszystkim, gdzie mieściło się poselstwo?
Krażyłem wiele dni po XVI dzielnicy, bo zdawało
mi się, że tu należy szukać zacisznej uliczki, jaką
odnajdowałem we wspomnieniach. Byłem jak róż-
dźdkarz czyhający na najdrobniejsze drgnienie róż-
dźki. Zatrzymywałem się na rogu każdej ulicy, w na-
dziei, że drzewa, domy wywołają jakieś żywsze ude-
rzenie mego serca. Wydawało mi się, że odczułem to
na skrzyżowaniu ulic Molitor i Mirabeau, i nagle na-
brałem pewności, że co wieczoru po wyjściu z po-
selstwa bywałem w tej okolicy.

Było ciemno. Idąc korytarzem prowadzącym na
schody słyszałem stuk maszyny do pisania i wsuwa-
łem głowę przez uchylone drzwi. Mężczyzna wychod-
ził wcześniej i kobieta sama siedziała przy maszynie.
Mówiłem jej dobranoc. Przystawała pisać i odwracała
się. Ładna brunetka, pamiętam jej tropikalną twarz.
Mówiła do mnie coś po hiszpańsku, uśmiechała się
i wracała do pracy. Na chwilę jeszcze zatrzymywałem
się w przedpokoju, a potem wychodziłem.

I na pewno idę ulicą Mirabeau, tak prostą, tak
mroczną, tak pustą, że przyśpieszam kroku; boję się,
że zwrócę na siebie uwagę, bo jestem jedynym prze-
chodniem. Na placu poniżej, na skrzyżowaniu z ulicą
de Versailles, świeci się jeszcze w kawiarni.

Zdarzało mi się również wybierać kierunek przeciwny: zapuszczałem się w spokojne ulice Auteuil. Tam czułem się bezpieczny. Wreszcie wychodziłem na drogę do' Muette. Pamiętam wysokie domy przy bulwarze Emile-Augier i ulicę, w którą skręcałem w prawo. Na piętrze było tam zawsze oświetlone okno z szybami matowymi jak w gabinetach dentystycznych. Deniza czekała na mnie trochę dalej, w rosyjskiej restauracji.

Często wymieniam bary i restauracje, ale gdyby od czasu do czasu nie było tabliczki z nazwą ulicy albo reklamy świetlnej, jak mógłbym się orientować?

Przy restauracji był ogród otoczony murami. Przez otwarte drzwi widać wewnątrz sali, draperie z czerwonego aksamitu. Było jeszcze jasno, gdy siadaliśmy przy jednym ze stolików w ogrodzie. Ktoś grał na cytrze. Dźwięk tego instrumentu, ogród w zmierzchającym świetle i zapach liści płynący zapewne z pobliskiego Lasku — wszystko to składało się na tajemniczość i melancholię tamtego czasu. Staralem się odszukać rosyjską restaurację. Na próżno. Sama ulica Mirabeau nie zmieniła się. W te wieczory, kiedy zostawałem dłużej w poselstwie, szedłem dalej przez avenue de Versailles. Mogłem jechać metrem, ale wolałem przejść się trochę i odetchnąć. Quai de Passy. Most Bir-Hakeim. Dalej avenue de New-York, którą tamtego wieczoru szedłem w towarzystwie Waldo Blunta, i teraz rozumiem, dlaczego poczułem to ukłucie w sercu: nie zdając sobie z tego sprawy, szedłem moją dawną trasą. Ileż razy przemierzyłem tę avenue de New-York... Plac de l'Alma, pierwsza oaza. Potem drzewa i chłód ronda Cours-la-Reine. Minąwszy plac de la Concorde byłem już niemal u celu. Ulica Royale. Skręcam w prawo, ulica Saint-Honoré. Na lewo ulica Cambon.

Na ulicy Cambon żadnych świateł oprócz fioleto-

wej smugi, która zapewne pada od jakiejś wystawy. Moje kroki dźwięczą na chodniku. Jestem sam. Znowu ogarnia mnie strach, ten strach, który czuję, ilekroć idę ulicą Mirabeau, strach, że ktoś mnie zauważy, że mnie zatrzyma, każe pokazać dokumenty. Byłaby to ironia losu: o kilkadziesiąt metrów od celi. Przede wszystkim nie wolno biec. Iść aż do końca miarowym krokiem.

Hotel „Castille”. Jestem już za progiem. W recepcji nie ma nikogo. Przechodzę do małego salonu, aby odetchnąć spokojniej i otrzeć pot z czoła. Jeszcze i tej nocy uniknąłem niebezpieczeństwa. Ona oczekuje mnie na górze. Ona jedna czeka na mnie, tylko ona zaniepokoiłaby się, gdybym zginął w tym mieście.

Pokój o bladezielonych ścianach. Czerwone firanki zaciągnięte. Światło pada od lampy stojącej u węzłowania po lewej stronie. Czuję ostry zapach jej perfum, widzę tylko piegi na jej skórze i pieprzyk nad prawym pośladkiem.

XXVI

Koło siódmej wieczorem wracał z synem z plaży i ten moment dnia lubił najbardziej. Trzymał chłopca za rękę albo pozwalał mu biec przodem.

Aleja była pusta, trochę promieni słonecznych ociągało się jeszcze na chodniku. Szli pod arkadami i chłopiec niezmiennie zatrzymywał się przed cukiernią „Pod Królową Astrid”. On oglądał wystawę księgarni.

Tego wieczora jedna z książek szczególnie zwróciła jego uwagę. Tytuł, ciemnoczerwonymi literami, zawierał wyraz „Castille” i kiedy szedł pod arkadami trzymając za rękę syna, który zabawiał się przeskaki-

waniem smug, jakie promienie słoneczne tworzyły na chodniku, to słowo „Castille” przypomniało mu hotel w Paryżu, niedaleko Faubourg Saint-Honoré.

Pewnego dnia jakiś człowiek wyznaczył mu spotkanie w hotelu „Castille”. Zetknął się już z nim w biurach przy avenue Hoche, wśród dziwnych osobników, którzy po cichu rozmawiali o interesach, i tamten zaproponował, że sprzeda mu klips i dwie bransolety z diamentami, bo chce wyjechać z Francji. Wręczył mu klejnoty ułożone w małym skórzanym etui i umówili się, że spotkają się nazajutrz wieczorem w hotelu „Castille”, gdzie ten człowiek mieszkał.

Miał teraz znowu przed oczyma recepcję hotelu, mały bar z boku i ogród zamknięty murem z zielonymi kratkami. Portier zatelefonował, aby go zaanonować, a następnie wymienił numer pokoju.

Leżał na łóżku, z papierosem w ustach. Nie zaciągał się i nerwowo wydmuchiwał gęste kłęby dymu. Wysoki brunet, który wczoraj przy avenue Hoche przedstawił się jako „były attaché handlowy jednego z poselstw południowoamerykańskich”. Podał tylko swoje imię: Pedro.

Ów Pedro usiadł na skraju łóżka i nieśmiało się uśmiechał. Nie wiedział dlaczego, ale żywił sympatię dla Pedra, chociaż go nie znał. Wyczuwał, że tamten jest jakby osaczony w tym hotelowym pokoju. Od razu podał mu kopertę z pieniędzmi. Udało mu się odprzedać klejnoty z grubym zyskiem. „Daję panu — powiedział — również połowę nadwyżki”. Pedro podziękował i włożył kopertę do szuflady nocnego stolika.

W tej chwili zauważył, że drzwi od szafy stojącej naprzeciwko łóżka są uchylone. Na wieszakach dostrzegł suknie i futro. Pedro mieszkał więc z ko-

biętą. Znów pomyślał, że sytuacja tej kobiety i Pedra jest niewesoła.

Pedro znowu położył się na łóżku i zapalił następnego papierosa. Widocznie nabrał zaufania, bo rzekł:

— Coraz bardziej boję się wychodzić na ulicę...

A nawet dodał:

— Są dni, kiedy tak się boję, że nie wstaję z łóżka...

Upłynęło tyle czasu, a on jeszcze słyszy te dwa zdania, ten głuchy głos Pedra. Zastanawiał się, co odpowiedzieć. Wybrnął z kłopotu, uciekając się do jakiejś banalnej uwagi, do czegoś w rodzaju: „Żyjemy w dziwnych czasach”.

Wtedy Pedro niespodziewanie oświadczył:

— Myślę, że znalazłem sposób, aby wyjechać z Francji... Kiedy są pieniądze, wszystko jest możliwe...

Pamięta, że za szybami wirowały bardzo drobne płatki śniegu — już prawie krople deszczu. I wszystko to razem — padający śnieg, ciemność na dworze, ciasnota pokoju — przyprawiało go o duszność. Czy istniała jeszcze możliwość ucieczki gdziekolwiek, nawet gdy miało się pieniądze?

— Tak — szepnął Pedro. — Znam sposób przedostania się do Portugalii... Przez Szwajcarię...

Na słowo „Portugalia” od razu zobaczył zielony ocean, słońce, pomarańczowy napój, który pije się przez słomkę, pod parasolem. „Może kiedyś — myślał — ten Pedro i ja spotkamy się latem na tarasie kawiarni w Lizbonie albo w Estorilu?” Niedbałym gestem naciskaliby kurek syfonu z wodą selcerską... Jakże daleki wydałby się im pokój w hotelu „Castille”, śnieg, ciemność, Paryż tej posępnej zimy, machinacje, do jakich trzeba się było uciekać, żeby się z niego wydostać... Wyszedł z pokoju mówiąc do Pedra: „Życzę powodzenia”.

Co się stało z Pedrem? Pragnął, aby ten człowiek, z którym spotkał się tylko dwa razy, i to tak dawno, był równie spokojny i szczęśliwy jak on teraz, w letni wieczór, z synkiem, który przeskakuje ostatnie plamy słońca na chodniku.

XXVII

Mój drogi Guy! Dziękuję za list. W Nicei czuję się bardzo szczęśliwy. Odnalazłem starą cerkiew prawosławną przy ulicy Longchamp, dokąd często zabierała mnie moja babka. W tym czasie widywałem na kortach króla Gustawa szwedzkiego... i tak zrodziło się moje zamiłowanie do tenisa... W Nicei każdy zakątek przypomina mi dzieciństwo.

Przy cerkwi, o której wspomniałem, jest pokój zastawiony oszklonymi szafami bibliotecznymi. Na środku wielki stół podobny do bilardu i stare fotele. Tam w każdą środę moja babka chodziła po książki, a ja zawsze jej towarzyszyłem.

Książki pochodzą z końca dziewiętnastego wieku. Miejsce to zresztą zachowało urok czytelnicy z tamtej epoki. Spędzam tam długie godziny na czytaniu w języku rosyjskim, chociaż już go trochę zapomniałem.

Wzdłuż cerkwi ciągnie się cienisty ogród pełen wysokich palm i eukaliptusów. Wśród tej tropikalnej roślinności wyrasta brzoza ze srebrzystym pniem. Posadzono ją tam, jak sądzę, żeby nam przypominała naszą daleką Rosję.

Czy mam panu zdradzić, mój drogi Guy, że złożyłem prośbę o posadę bibliotekarza? Jeśli się uda, a mam taką nadzieję, będę rad mogąc pana powitać w jednym z miejsc mojego dzieciństwa.

Zaznawszy wielu zmiennych kolei losu (nie śmiałem przyznać się przed popem, że uprawiałem zawód detektywa prywatnego), wracam do źródeł.

Miał pan rację mówiąc, że w życiu liczy się nie przyszłość, lecz przeszłość.

Co do sprawy, o którą pan pyta, uważam, że trzeba zwrócić się do Biura Poszukiwania Rodzin. Napisałem więc do De Swerta, który, jak mi się wydaje, najlepiej odpowie na pańskie pytania. Prześle on panu informacje w najbliższym czasie.

Oddany
Hutte

Ps. Co do wspomnianego Olega de Wrédé, którego dotychczas nie udało się nam zidentyfikować, mam dla pana dobrą wiadomość: najbliższą pocztą otrzyma pan list w tej sprawie. Wypytywałem na chybił trafił parę osób ze starej kolonii rosyjskiej w Nicei, uważając, że nazwisko Wrédé ma w sobie coś rosyjskiego — albo bałtyckiego — i przypadkiem spotkałem niejaką panią Kahan, w której obudziło ono wspomnienia. Zresztą, smutne wspomnienia, do których wolałaby nie wracać, ale obiecała mi, że do pana napisze i przekaże wszystko, co jest jej wiadome.

XXVIII

Dotyczy: Coudreuse Denise Yvette.

Urodzona w Paryżu 21 grudnia 1917; rodzice: Paul Coudreuse i Henriette z domu Bogaerts.

Narodowość: francuska.

Poślubiła 3 kwietnia 1939 w merostwie XVII dzielnicy Jimmy'ego Pedra Sterna, urodzonego 30 września 1912 w Salonikach (Grecja), narodowości greckiej.

Kolejne adresy:

quai d'Austerlitz 9, Paryż XIII

ul. de Rome 97, Paryż XVII

hotel „Castille”, ul. Cambon, Paryż VIII

ul. Cambacérès 10 bis, Paryż VIII.

Deniza Coudreuse pozowała do zdjęć dla magazynów mód pod imieniem „Muth”.

Później pracowała u krawca J.F. przy ulicy La Béotie 32 jako modelka; następnie zawarła spółkę z nie-

jakim Vań Allenem, obywatelem holenderskim, który założył w kwietniu 1941 firmę krawiecką, placyk de l'Opéra 6, Paryż IX. Firma istniała krótko, do stycznia 1945.

Deniza Coudreuse zaginęła w czasie próby nielegalnego przekroczenia granicy francusko-szwajcarskiej w lutym 1943. Śledztwo prowadzone w Megève (Górna Sabaudia) i w Annemasse (Górna Sabaudia) nie dało żadnych wyników.

XXIX

Dotyczy: Stern Jimmy Pedro.

Urodzony w Salonikach (Grecja), 30 września 1912; rodzice: Georges Stern i Giuvia Sarano.

Narodowość: grecka,

3 kwietnia 1939 w merostwie XVII dzielnicy zawarł związek małżeński z Denise Yvette Coudreuse, narodowości francuskiej.

Miejsce pobytu Sterna we Francji nie znane.

Jedyny meldunek, pochodzący z lutego 1939, świadczy, że niejaki Jimmy Pedro Stern mieszkał w tym czasie w hotelu „Lincoln”, ul. Bayard 24, Paryż VIII.

Ten sam adres figuruje zresztą w merostwie XVII okręgu na metryce ślubu.

Obecnie hotel „Lincoln” nie istnieje.

Meldunek hotelu „Lincoln”, zawierał, co następuje:

Nazwisko i imię: Stern Jimmy Pedro.

Adres: ul. delle Botteghe Oscure 2, Rzym, Włochy.

Zawód: agent giełdowy.

Jimmy Stern znikł w 1940.

XXX

Dotyczy: McEvoy Pedro.

Bardzo trudno było uzyskać informacje dotyczące Pe-

dra McEvoy zarówno w prefekturze policji, jak w głównym biurze wywiadowczym.

Sygnalizowano nam, że jakiś Pedro McEvoy, obywatel Republiki Dominikańskiej i urzędnik poselstwa dominikańskiego w Paryżu, mieszkał w grudniu 1940 przy ul. Julien-Potin w Neuilly (Seine).

Potem ślad się urywa.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa Pedro McEvoy opuścił Francję w czasie ostatniej wojny.

Być może również, że mamy tutaj do czynienia z kimś, kto używał przybranego nazwiska i fałszywych papierów, co się wtedy często zdarzało.

XXXI

Były to urodziny Denizy. Zimowy wieczór, w Paryżu padał śnieg, który zmienił się w błoto. Ludzie znikali w wejściach do metra i szli szybkim krokiem. Wystawy na Faubourg Saint-Honoré były jasno oświetlone. Zbliżało się Boże Narodzenie.

Wszedłem do jubilera i jeszcze teraz widzę twarz tego człowieka. Miał brodę i nosił okulary z barwionymi szklami. Kupiłem pierścionek dla Denizy. Kiedy wyszedłem ze sklepu, śnieg wciąż jeszcze padał. Bałem się, że Deniza nie przyjdzie na spotkanie, i po raz pierwszy pomyślałem, że moglibyśmy nie odnaleźć się w tym mieście wśród tych wszystkich spieszących się cieni.

Ale nie pamiętam, czy tego wieczoru nazywałem się Jimmy czy Pedro, Stern czy McEvoy.

XXXII

Valparaiso. Stoi na tylnym pomoście tramwaju, przy szybie, ściśnięta w tłumie pasażerów pomiędzy nis-

kim człowiekiem w ciemnych okularach a czarnowłosą kobietą o twarzy mumii, od której bije zapach fiołków.

Wkrótce prawie wszyscy wysiądą przy placu Echaurren i będzie mogła usiąść. Przyjeżdża do Valparaiso tylko dwa razy w tygodniu na lekcje, bo mieszka na wzgórzach, w dzielnicy Cerro Alegre. W Valparaiso wynajmuje dom, gdzie prowadzi szkołę tańca.

Nie żałuje, że wyjechała z Paryża przed pięciu laty, kiedy złamała nogę w kostce i powiedziano jej, że już nigdy nie będzie mogła tańczyć. Postanowiła wyjechać, przeciąć wszystkie więzi z dotychczasowym życiem. Dlaczego Valparaiso? Bo знаła tam kogoś, eks-tancerza z baletów markiza Cuevas.

Nie zamierza już wracać do Europy. Zostanie na tych wzgórzach, będzie prowadzić kursy tańca i wreszcie zapomni o swoich fotosach rozlepianych na mieście w czasach, gdy należała do zespołu pułkownika de Basila.

Rzadko myśli o swoim życiu sprzed wypadku. Wszystko maści się jej w głowie. Mieszają się nazwiska, daty, miejscowości. Ale jeden obraz odżywa w niej regularnie dwa razy w tygodniu, o tej samej godzinie i w tym samym miejscu. Jest to chwila, gdy tramwaj zatrzymuje się, jak tego wieczora, na końcu avenidy Errazuriz. Ta zacieniona, lekko wznosząca się aleja kojarzy się jej z ulicą w Jouy-en-Josas, gdzie mieszkała w dzieciństwie. Znowu widzi dom na rogu ulicy du Docteur Kurzenne, wierzbę płaczącą, białą furtkę, zbór protestancki naprzeciw i całkiem w dole gospodę „Pod Robinem Hoodem”. Pamięta pewną niedzielę różną od innych. Przyszła po nią chrzestna matka.

Niada nie wie o tej kobiecie, zna tylko imię: Deniza. Miała otwarty samochód. Tej niedzieli towarzyszył

jej jakiś czarnowłosy mężczyzna. Wszyscy troje pojechali na lody, pływali łódką, a wieczorem, kiedy wyszli z Wersalu, aby ją odwiedzić do Jouy-en-Josas, zatrzymali się w miejscu, gdzie odbywał się jakiś festyn. Ona z tą Denizą, swoją chrzestną matką, wsiadły do elektrycznego samochodziku, a czarnowłosy mężczyzna przyglądał się im.

Chętnie dowiedziałyby się czegoś więcej. Jak się nazywali tamci dwoje? Gdzie mieszkali? Co się z nimi potem stało? Te pytania zadawała sobie, gdy tramwaj jechał aleją Errazuriz wspinając się ku dzielnicy Cerro Alegre.

XXXIII

Tego wieczora siedziałem przy stoliku w barze, który był też sklepem spożywczym i probiernią win, a który poznałem dzięki Huttemu; lokal mieści się przy avenue Niel, naprzeciwko naszej agencji. Kontuar, na półkach towary kolonialne: herbata, rachatłukum, konfitury różane, śledzie bałtyckie. Bywali tu eks-dżokeje: dzielili się wspomnieniami, pokazywali podniszczone fotografie koni od dawna już odartych ze skóry.

Dwaj mężczyźni cicho rozmawiali przy barze. Jeden miał na sobie płaszcz w kolorze zwiędłych liści, sięgający niemal do kostek. Był niski jak większość bywalców tego lokalu. Odwrócił się, zapewne żeby zobaczyć godzinę na tarczy zegara nad wejściem, i wtedy wzrok jego zatrzymał się na mnie.

Twarz mocno mu zbladła. Patrzył na mnie wytrzeszczonymi oczyma, z otwartymi ustami.

Marszcząc brwi, podszedł powoli. Zatrzymał się tuż obok przy moim stoliku.

— Pedro...

Dotknął rękawa mojej marynarki.

— Pedro, to ty?

Wahałem się z odpowiedzią. Zdawał się zbity z tropu.

— Przepraszam pana — powiedział. — Czy to pan Pedro McEvoy?

— Tak — powiedziałem ostro. — A o co chodzi?

— Pedro, ty... ty mnie nie poznajesz?

— Nie.

Usiadł naprzeciwko.

— Pedro... Ja jestem... André Wildmer...

Był podniecony. Wziął mnie za rękę.

— André Wildmer... dżokej... Nie przypominasz mnie sobie?

— Proszę mi wybaczyć — powiedziałem. — Mam pewne luki w pamięci. Kiedyśmy się poznali?

— Przecież ty dobrze wiesz... z Freddie'm...

To imię podziałało na mnie jak wyładowanie elektryczne. Dżokej. Były ogrodnik z Valbreuse wspominał mi o jakimś dżokeju.

— To dziwne — powiedziałem. — Niedawno ktoś mówił mi o panu... w Valbreuse...

Wzrok mu się zamglił. Czy to skutki alkoholu? Albo wzruszenia?

— No widzisz, Pedro. Nie przypominasz sobie, jak z Freddie'm jeździliśmy do Valbreuse?...

— Nie bardzo. Właśnie ogrodnik z Valbreuse opowiadał mi o tym...

— Pedro... więc ty... więc ty żyjesz...

Mocno, aż do bólu ścisnął mi rękę.

— Tak. Co w tym dziwnego?

— Ty... ty jesteś w Paryżu?

— Tak. Dlaczego pan pyta?

Patrzył na mnie przerażony. Nie mógł uwierzyć, że żyję. Co więc zaszło? Bardzo chciałem się dowie-

dzieć, ale on najwidoczniej nie miał odwagi wprost o tym mówić.

— Ja... mieszkam w Giverny... w departamencie Oise — powiedział. — Rzadko... bardzo rzadko bywam w Paryżu... Napijesz się czegoś, Pedro?

— „Marie Brizard” — powiedziałem.

— Dobrze, ja także.

Sam nalał likieru do kieliszków, powoli, jak gdyby chciał zyskać na czasie.

— Pedro... Co się stało?

— Kiedy?

Wychylił kieliszek jednym haustem.

— Wtedy gdy próbowałeś z Denizą przeprowić się przez granicę szwajcarską...

Co mogłem mu odpowiedzieć?

— Nigdy nie daliście znaku życia. Freddie bardzo się niepokoił...

Znów napełnił sobie kieliszek.

— Myśleliśmy, że zabłądziliście w śniegu...

— Nie było się czym niepokoić — powiedziałem.

— A Deniza?

Wzruszyłem ramionami.

— Czy pan dobrze pamięta Denizę? — spytałem.

— Ależ ma się rozumieć, Pedro... A przede wszystkim dlaczego mówisz do mnie per pan?

— Przepraszam cię, stary — rzekłem. — Od pewnego czasu dzieje się ze mną coś niedobrego. Próbuję przypomnieć sobie cały ten okres... Ale to takie mgliste...

— Rozumiem. To wszystko dawne sprawy... Czy pamiętasz wesele Freddie'ego?

Uśmiechał się.

— Nie bardzo.

— W Nicei... Kiedy żenił się z Gay...

— Gay Orłow?

— No tak, Gay Orłow... Z kim miałby się ożenić? Wydawał się niezbyt zadowolony, że wzmianka o tym weselu nie zrobiła na mnie większego wrażenia.

— W Nicei... w cerkwi... ślub kościelny... bez ślubu cywilnego...

— W której cerkwi?

— W małej cerkwi z ogrodem...

W tej, którą opisał mi Hutte w liście? Czasami zdarzają się tajemnicze zbiegi okoliczności.

— Ależ tak — powiedziałem — oczywiście... Cerkiewka przy ulicy Longchamp, z ogrodem i biblioteką parafialną...

— Więc przypominasz sobie? Było nas czterech świadków... Trzymaliśmy korony nad głowami Freddie'ego i Gay...

— Czterech świadków?

— No tak... ty, ja, dziadek panny młodej...

— Stary Dżordżadze?...

— Właśnie... Dżordżadze...

Zdjęcie, na którym byłem z Gay i starym Dżordżadze, zostało zrobione na pewno z tej okazji. Pokażę mu je.

— A czwartym świadkiem był twój przyjaciel Rubirosa...

— Kto?

— Twój przyjaciel Rubirosa... Porfirio... Dyplomata z Dominikany...

Uśmiechał się na wspomnienie Porfiria Rubirosy. Dyplomata dominikański. Może to dla niego pracowałem w tym poselstwie?

— A potem poszliśmy do starego Dżordżadze...

Zobaczyłem, jak koło południa idziemy wysadzaną platanami aleją w Nicei. Świeciło słońce.

— Czy była tam również Deniza?

Obruszył się.

— Ma się rozumieć... Ty naprawdę nic już nie pamiętasz...

Szliśmy niedbałym, swobodnym krokiem, wszyscy siedmioro: dżokej, Deniza, ja, Gay Orłow i Freddie, Rubirosa i stary Dżordżadze. Wszyscy byliśmy ubrani na biało.

— Dżordżadze mieszkał przy parku Alsace-Lorraine.

Drzewa palmowe pną się wysoko do nieba. Dzieci przemykają po zjeżdżalni. Biały front domu ze storami z pomarańczowego płótna. Nasze śmiechy w klatce schodowej .

— Wieczorem dla uczczenia ślubu twój przyjaciel Rubirosa zaprosił nas na kolację do „Eden Roc”... Coś ci to mówi? Przypominasz sobie?...

Odetchnął jak po wielkim wysiłku fizycznym. Wydawał się zmęczony tym wspomnianiem dnia, kiedy Freddie i Gay Orłow zawarli związek małżeński w cerkwi, dnia słonecznego i beztroskiego, który zapewne był jednym z najszczęśliwszych dni naszej młodości.

— A zatem — powiedziałem — my znamy się od bardzo dawna...

— Tak... Ale wcześniej poznałem Freddie'ego... Bo w swoim czasie byłem dżokejem u jego dziadka... Niestety, nie trwało to długo... Stary wszystko stracił...

— A Gay Orłow... Wiesz, że...

— Tak, wiem... Mieszkałem bardzo blisko niej... Placyk des Aliscamps...

Wielki blok mieszkalny i okna, skąd Gay Orłow miała na pewno bardzo piękny widok na pola wyścigowe w Auteuil. Waldo Blunt, jej pierwszy mąż, powiedział mi, że popełniła samobójstwo, bo przerażała ją starość. Wyobrażam sobie, że często przyglądała się z okna gonitwom. Codziennie, i to wielokrotnie w ciągu jednego popołudnia, stadko koni

rusza, pędzi po torze i jak fala rozbija się o przeszkodę. Te, które je pokonują, będą się jeszcze pojawiać przez parę miesięcy, a potem i one znikną. Nieustannie potrzebne są nowe konie, które także stopniowo zastępuje się innymi. I za każdym razem impet kończy się załamaniem. Taki widok na pewno rodzi melancholię i przygnębienie, więc może dlatego, że mieszkała na skraju pola wyścigowego, Gay Orłow... Miałem ochotę zapytać Wildmera, co on o tym myśli. Powinien to rozumieć. Był dżokejem.

— Bardzo to smutne — powiedział. — Gay była szykowną dziewczyną...

Pochylił się i zbliżył swoją twarz do mojej. Miał skórę przekrwioną, ze śladami po ospie, piwne oczy. Prawy policzek i cały podbródek przecinała blizna. Włosy były kasztanowe, tylko nad czołem sterczał siwy kosmyk.

— A ty, Pedro...

Nie pozwoliłem mu dokończyć zdania.

— Czy znałeś mnie, gdy mieszkałem przy ulicy Julien-Potin w Neuilly? — powiedziałem na chybił trafił, bo zapamiętałem dokładnie adres na fiszce „Pedra McEvoy”.

— Kiedy mieszkałeś u Rubirosy?... Oczywiście...

Znowu ten Rubirosa.

— Często zachodziliśmy tam z Freddie’em... Hulało się co wieczór...

Wybuchnął śmiechem.

— Twój przyjaciel Rubirosa sprowadzał całe orkiestry... Do szóstej rano... Pamiętasz te dwie pieśni, które nam stale wygrywał na gitarze?

— Nie...

— „El reloj” i „Tu me acostubraste”. Zwłaszcza „Tu me acostubraste”.

Zagwizdał parę taktów tej melodii.

— No i co?

— Tak... tak... przypominam sobie — powiedziałem.

— Postarałeś mi się o paszport dominikański... Ale nie przydało mi się to na wiele...

— Byłeś u mnie w poselstwie? — zapytałem.

— Tak, wręczyłeś mi wtedy paszport dominikański.

— Nigdy nie mogłem zrozumieć, co ja do licha robiłem w tym poselstwie.

— Ja też nie wiem... Jednego dnia powiedziałeś mi, że jesteś kimś w rodzaju sekretarza Rubirosy i że to jest dla ciebie dobra melina... Jakie to smutne, że Rubi zginął w tym wypadku samochodowym.

Tak, smutne. Jeszcze jeden świadek, którego nie mogłem już o nic zapytać.

— Powiedz mi, Pedro... Jakie jest twoje prawdziwe nazwisko? Zawsze mnie to intrygowało. Freddie mówił mi, że nie nazywasz się Pedro McEvoy... Że to Rubi dostarczył ci fałszywych papierów...

— Moje prawdziwe nazwisko? Sam chciałbym to wiedzieć.

I uśmiechnąłem się, aby mógł to wziąć za żart.

— Freddie wiedział, bo znaliście się jeszcze ze szkoły... Przecież zamęczaliście mnie waszymi historjkami z Kolegium imienia Luizy...

— Z jakiego kolegium?

— Imienia Luizy. Wiesz doskonale... Nie zgrywaj się. Któregoś dnia twój stary przyjechał samochodem po was obu... Pozwolił prowadzić Freddie'emu, który nie miał jeszcze prawa jazdy... To opowiadaliście mi co najmniej sto razy...

Kiwał głową. A zatem miałem ojca, który przyjeżdżał po mnie do Kolegium imienia Luizy. Szczegół bardzo interesujący.

— A ty? — spytałem. — Zawsze pracujesz w swojej branży?

— Znalazłem posadę nauczyciela konnej jazdy przy ujeżdżalni w Giverny...

Przybrał poważny ton, co mnie poruszyło.

— Wiesz chyba, że od czasu mojego wypadku wszystko zaczęło iść w diabły...

Od jakiego wypadku? Nie śmiałem zapytać...

— Kiedy wyjeżdżałem z wami, to znaczy z tobą, Denizą, Freddie'm i Gay do Megève, już było ze mną krucho... Straciłem posadę trenera... Mieli pietra, bo jestem Anglikiem... Chcieli tylko Francuzów...

Anglik? Tak. Mówił z lekkim obcym akcentem, który dotąd zaledwie wyczuwałem. Serce zabiło mi trochę mocniej, gdy wyrzekł tę nazwę: Megève.

— Dziwny pomysł z tą wyprawą do Megève, co? — zaryzykowałem.

— Dlaczego dziwny? Nie mogliśmy zrobić nic innego...

— Tak myślisz?

— To było spokojne miejsce... Paryż stawał się zbyt niebezpieczny...

— Naprawdę tak sądzisz?

— Zresztą, Pedro, przypomnij sobie... Coraz częściej sprawdzano dokumenty... Ja... Anglik, Freddie miał paszport angielski...

— Angielski?

— A tak... Rodzina Freddie'ego pochodziła z wyspy Mauritius... Twoja sytuacja też nie była lepsza. Nasze lewe paszporty dominikańskie nie mogły nas naprawdę chronić... Przypomnij sobie... Nawet twój przyjaciel Rubirosa...

Nie dosłyszałem reszty zdania. Wydawało się, że stracił głos.

Wypił łyk likieru i w tej samej chwili weszli czterej bywalcy lokalu, wszyscy eks-dżokeje. Poznałem ich; często słuchałem ich rozmów. Jeden wciąż jeszcze

nosił bryczesy i zamszową, w wielu miejscach poplamioną kurtkę. Pokleпали Wildmera po ramieniu. Mówili wszyscy na raz, wybuchali śmiechem, robili mnóstwo hałasu. Wildmer nie przedstawił mi ich.

Siedli na wysokich stołkach barowych i wciąż głośno rozmawiali.

— Pedro...

Wildmer nachylił się do mnie. Twarz jego znalazła się o parę centymetrów od mojej. Krzywił się, jak gdyby wypowiedzenie paru słów było dla niego nadludzkim wysiłkiem.

— Pedro... Co stało się z Denizą, kiedy próbowaliście przekroczyć granicę?...

— Nie wiem — odpowiedziałem.

Popatrzył na mnie przenikliwie. Musiał być trochę pijany.

— Pedro... Zanim wyjechaliście, powiedziałem ci, że z tym typem trzeba uważać...

— Z jakim typem?

— Z tym, który chciał was przerzucić do Szwajcarii... Ten niby Rosjanin z gębą żigolaka...

Był purpurowy. Znowu łyknął trochę likieru.

— Przypomnij sobie... Mówiłem ci, że nie podoba mi się także ten drugi... Trener narciarski...

— Jaki trener narciarski?

— Ten, który miał być waszym przewodnikiem... Dobrze wiesz... Bob, jak mu tam... Bob Besson... Dlaczegoście wyruszyli?... Było wam tak dobrze z nami, w tej górskiej willi...

Co mu odpowiedzieć? Skinąłem głową. Jednym haustem wychylił resztę likieru.

— Nazywał się Bob Besson? — spytałem.

— Tak. Bob Besson...

— A żigolak?

Zmarszczył brwi.

— Już nie pamiętam.

Jego uwaga słabła. Dokonał gwałtownego wysiłku, aby pomówić ze mną o przeszłości, ale to był koniec. Jak wyczerpany pływak, który — wychyliwszy po raz ostatni głowę z wody — pomału daje się wciągnąć głębinie... Co prawda, niewiele mu pomogłem w tym wywoływaniu wspomnień.

Wstał i przyłączył się do tamtych. Wracał do codzienności. Usłyszałem, jak głośno wypowiada opinię o popołudniowych gonitwach w Vincennes. Ten w bryczesach postawił kolejkę. Wildmer odzyskał głos i był tak agresywny, tak podniecony, że zapomniał zapalić trzymanego w kąciku ust papierosa. Gdybym teraz stanął przed nim, nie poznałby mnie.

Wychodząc powiedziałem mu do widzenia i kiwnąłem ręką, ale nie zwrócił na mnie uwagi. Pochłonięty był rozmową.

XXXIV.

Vichy. Amerykański wóz zatrzymuje się na skraju parku zdrojowego, przy Hôtel de la Paix. Na karoserij płamy błota. Wsiadają dwaj mężczyźni i kobieta i zacierają do wejścia. Obaj mężczyźni są nie ogoleni, wyższy prowadzi kobietę pod rękę. Przed hotelem rząd wiklinowych foteli, w których śpią ludzie z głowami zwieszonymi, obojętni na skwar lipcowy.

W hallu wszyscy troje z trudem torują sobie drogę do recepcji. Muszą wymijać fotele, a nawet łóżka polowe, na których wyciągnęli się inni śpiący, ten i ów w mundurze wojskowym. W zwartych grupkach, po pięć, dziesięć osób, tłoczą się w salonie, nawołują się, a gwar ich rozmów jest jeszcze bardziej męczący niż wilgotny upał na dworze. Wreszcie dobrnęli do recepcji i jeden z mężczyzn, ten wyższy, podaje portie-

rowi trzy paszporty. Dwa z nich wydało poselstwo Republiki Dominikany w Paryżu, jeden na nazwisko Porfiria Rubirosy, drugi na nazwisko Pedra McEvoy; trzeci paszport, francuski, opiewa na nazwisko Denise Yvette Coudreuse.

Portier, z twarzą zlaną potem, który skapuje mu z podbródka, znużonym gestem zwraca im wszystkie trzy paszporty. Nie, w całym Vichy, „w obecnej sytuacji”, nie ma ani jednego wolnego pokoju hotelowego... Ściśle mówiąc, znalazłyby się jeszcze dwa fotele, które można by wnieść do pralni albo ustawić w łazience na parterze... Słowa jego ginęły we wrzawie rozmów krzyżujących się dokoła, w metalicznym trzaskaniu drzwi od windy, w terkocie telefonów, w wezwaniach padających z głośnika umieszczonego nad biurkiem recepcji.

Dwaj mężczyźni i kobieta wyszli z hotelu trochę chwiejnym krokiem. Niebo zaciągnęło się nagle szarofiołkowymi chmurami. Przecięli park zdrojowy. Wzdłuż trawników, pod krytymi galeriami, tarasując asfaltowe aleje, ludzie stoją w gromadkach jeszcze bardziej zwartych niż w hotelowym hallu. Wszyscy rozmawiają bardzo głośno, niektórzy krążą od grupy do grupy, niektórzy odłączają się, aby we dwójkę, w trójkę przysiąść na ławkach albo żelaznych parkowych krzesłach, po czym wracają do swoich... Człowiek czuje się jak na ogromnym dziedzińcu szkolnym i niecierpliwie oczekuje dzwonka, który położy kres miotaniu się i ogłuszającemu, narastającemu z każdą chwilą zgiełkowi. Ale dzwonek się nie rozlega.

Wysoki brunet wciąż prowadzi kobietę pod rękę; ten drugi zdjął marynarkę. Idą potrącani przez osoby biegnące we wszystkich kierunkach, szukające kogoś, jakiejś grupy, od której przed sekundą się odłączyły i która już zdążyła się rozproszyć, a jej członków wchłonęły inne gromadki.

Dwaj mężczyźni i kobieta dochodzą do tarasu Café de la Restauration. Taras jest zatłoczony, ale — cud prawdziwy — właśnie pięć osób wstało od stolika i wszyscy troje opadają na wiklinowe krzesła. Tępo patrzą w stronę kasyna.

Mgła zasnęła cały park, sklepienie z liści zatrzymuje ją i unieruchamia; ta mgła przypomina parę we wschodniej łaźni. Wypełnia gardła i przesłania ciżbę przed kasynem, tłumi gwar rozmów. Przy sąsiednim stoliku stara dama wybucha płaczem i powtarza, że w Hendaye granica jest zamknięta.

Głowa kobiety opadła na ramię wysokiego bruneta. Zamknęła oczy. Śpi snem dziecka. Dwaj mężczyźni wymieniają uśmiechy. Potem znów przenoszą wzrok na tłum przed kasynem.

Zaczyna padać ulewny deszcz. Deszcz monsunowy. Przebija się nawet przez bardzo gęste liście platanów i kasztanowców. Jedni tłoczą się, aby szukać osłony pod szklanym dachem kasyna, inni w pośpiechu opuszczają taras i depcząc sobie po piętach wchodzą do kawiarni.

Tylko dwaj mężczyźni i kobieta nie ruszyli się z miejsca, bo ich stolik osłonięty jest przed ulewą parasolem. Kobieta wciąż śpi z policzkiem wspartym o ramię wysokiego bruneta, który nie widzącymi oczyma patrzy przed siebie; podczas gdy jego towarzysz bezmyślnie pogwizduje melodię „Tu me acostumbraste”.

XXXV

Z okna widać było rozległy trawnik, a wzdłuż niego wysypaną żwirem aleję. Wznosiła się bardzo łagodnie aż do budynku, do którego przed chwilą wszedłem i który kojarzył mi się z białymi hotelami nad

Morzem Śródziemnym. Ale kiedy wchodziłem po stopniach na ganek, zobaczyłem na drzwiach napis ze srebrnych liter: „Kolegium im. Luizy hr. d'Albany”.

Dalej, na drugim krańcu trawnika, kort tenisowy. Z prawej strony rząd brzoź i basen pływacki, z którego spuszczo wodę. Trampolina była na wprost zwalona.

Stałem we wnętrzu okna, gdy do mnie podszedł.

— Ach tak... Jest mi niezmiernie przykro, proszę pana. Wszystkie archiwa kolegium spłonęły... Do szczętu...

Człowiek lat około sześćdziesięciu, w okularach z jasnego szylkretu, w tweedowej marynarce.

— A poza tym pani Jeanschmidt nigdy by się na to nie zgodziła... Od śmierci męża nie chce w ogóle słyszeć o niczym, co dotyczy Kolegium imienia Luizy hrabiny d'Albany...

— Nie ma tu gdzieś jakichś starych fotografii szkolnych? — zapytałem.

— Nie, proszę pana. Raz jeszcze powtarzam, że wszystko się spaliło...

— Czy długo pan tutaj pracował?

— Przez dwa ostatnie lata istnienia Kolegium imienia Luizy. Potem nasz dyrektor, pan Jeanschmidt, zmarł... Ale kolegium nie było już takie jak dawniej...

Zamyślony patrzył przez okno.

— Jako były uczeń bardzo chciałbym odszukać jakieś pamiątki — powiedziałem.

— Rozumiem. Ale niestety...

— I co teraz stanie się z kolegium?

— O, sprzedadzą wszystko na licytacji.

Niedbałym ruchem ręki wskazał trawnik, korty, pływalnię przed nami.

— Chce pan po raz ostatni zobaczyć sypialnie i klasy?

— Chyba nie warto.

Wyjął fajkę z kieszeni marynarki i włożył do ust. Nie opuszczał tej wnęki okiennej.

— Co to jest, ten drewniany budynek po lewej stronie?

— To szatnia, proszę pana. Uczniowie przebierali się tam w stroje sportowe...

— Ach tak...

Napychał fajkę.

— Ja wszystko zapomniałem... Czy nosiliśmy mundurki?

— Nie, proszę pana. Tylko do obiadu i w dnie wolne od zajęć obowiązywała granatowa sportowa kurtka.

Podszedłem bliżej do okna. Niemal przytknąłem czoło do szyby. W dole, przed białym budynkiem, był duży wysypany żwirem plac, na którym zaczynały się już pojawiać chwasty. Widziałem nas, Freddie'ego i siebie, w granatowych kurtkach. I usiłowałem wyobrazić sobie, jak mógł wyglądać ten człowiek, który w wolne dni przyjeżdżał po nas, wysiadał z samochodu, szedł w naszą stronę i był moim ojcem.

XXXVI

Nicea, 22 listopada 1965

E. Kahan

ulica de Picardie 22
Nicea

Na prośbę pana Hutte piszę, aby przekazać panu wszystko, co jest mi wiadome o niejakim Olegu de Wrédé, chociaż z przykrością wracam do tych złych wspomnień.

Pewnego dnia zaszłam do rosyjskiej restauracji przy

ulicy François I, „U Arkadija”, prowadzonej przez pewnego Rosjanina — nazwiska nie pamiętam. Restauracja była skromna; osób niewiele. Zarządzający, człowiek przedwcześnie postarzały, ze smutnym i cierpiącym wyrazem twarzy, stał przy stole z zakąskami — działo się to około roku 1937.

Uwagę moją zwrócił młody człowiek, lat może dwudziestu, który zachowywał się w tej restauracji jak u siebie w domu. Był aż za dobrze ubrany, garnitur, koszula itd. nieposzlakowanc.

Powierzchność miał uderzającą: ogromna siła witalna, porcelanowoniebieskie skośne oczy, olśniewający uśmiech, niczym nie zmacona wesołość. A przy tym — zwierzęca przebiegłość.

Siedział w pobliżu mojego stolika. Kiedy po raz drugi przyszedłam do tej restauracji, odezwał się do mnie wskazując zarządzającego lokalu: „Czy uwierzy pani, że jestem synem tego jegomościa?” — z miną wyrażającą pogardę dla biednego starca, który istotnie był jego ojcem.

Następnie pokazał mi bransoletę ze znakiem rozpoznawczym, na której wryte było nazwisko: „Louis de Wrédé, hrabia de Montpensier” (w restauracji nazywano go Oleg, jest to imię rosyjskie). Zapytałam, gdzie przebywa jego matka. Odrzekł, że nie żyje; zapytałam, gdzie mogła spotkać kogoś z rodu Montpensier (zdaje się, że to młodsza linia Orleanów). Odpowiedział: na Syberii. Wszystko to brzmiało nieprawdopodobnie. Zorientowałam się wkrótce, że to nicpoń, który chyba pozwala się utrzymywać osobom płci obojga. Na moje pytanie, czym się zajmuje, odrzekł, że gra na fortepianie.

Następnie zaczął wyliczać swoje wielkoświatowe znajomości; chwalił się, że diuszaesa d'Uzès okazuje mu względy, że łączą go serdeczne stosunki z księciem Windsoru... Wyczuwałam, że w jego słowach jest i prawda, i fałsz. Ludzie „z towarzystwa” widocznie dawali się nabierać na jego „nazwisko”, uśmiech, wdzięk zimny, ale niewątpliwy.

W czasie wojny — wydaje mi się, że było to w

1941—1942 — na plaży w Juan-les-Pins zobaczyłam podbiegającego do mnie Olega de Wrédé; jak zawsze był w znakomitej formie, roześmiany. Powiedział mi, że dostał się do niewoli i że zaopiekował się nim pewien wysoki oficer niemiecki. Obecnie przyjechał na parę dni do swojej wojennej matki chrzestnej, wdowy po Henryku Duvernois. Ale zaznaczył: „Jest tak skąpa, że nie daje mi ani grosza”.

Oznajmił, że wraca do Paryża, aby „pracować z Niemcami”. „W jaki sposób?” — zapytałam. „Będę im sprzedawał samochody”.

Odtąd nie widziałam go i nie wiem, co się z nim stało. Oto, szanowny panie, wszystko, co mogę napisać na temat tego osobnika.

Z wyrazami szacunku E. Kahan

XXXVII

Teraz wystarczy zamknąć oczy. Zdarzenia, które poprzedziły nasz wspólny wyjazd do Megève, w strzępach powracają mi na pamięć. Duże oświetlone okna dawnego pałacu Zaharoffa przy avenue Hoche, urywane zdania Wildmera i nazwiska (purpurowe i skrzące: Rubirosa albo bezbarwne: Oleg de Wrédé), a wreszcie jakies nieuchwytnie szczegóły, nawet sam głos Wildmera, ochrypliły i ledwie dosłyszalny — wszystko to służy mi za nić Ariadny.

W przeddzień późnym popołudniem znalazłem się właśnie przy avenue Hoche, na pierwszym piętrze dawnej rezydencji Zaharoffa. Dużo ludzi. Jak zwykle nie zdejmowali płaszczy. Ja byłem bez płaszcza. Minąłem główną salę, gdzie zobaczyłem ich z piętnastu — oblegali telefony albo siedzieli w skórzanych fotelach rozmawiając o interesach — wśliznąłem się do małego pokoju biurowego i zamknąłem drzwi za sobą. Człowiek, z którym miałem się spot-

kać, już tam czekał. Zaprowadził mnie w kąt pokoju, gdzie usiedliśmy w dwóch fotelach przedzielonych niskim stołem. Położyłem na nim ludwiki zawinięte w gazetę. On natychmiast podał mi kilka paczek banknotów, których nie przeliczyłem, tylko wsunąłem do kieszeni. Bizuteria go nie interesowała. Razem wyszliśmy z pokoju, potem z wielkiej sali, gdzie wrzawa rozmów i krzątania tych wszystkich ludzi w paltach miały w sobie coś niepokojącego. Już na ulicy podał mi adres ewentualnej nabywczyni klejnotów, w okolicy placu Malesherbes, i poradził, żebym powołał się na niego. Padał śnieg, ale postanowiłem iść piechotą. Na początku naszej znajomości Deniza i ja często chodziliśmy tą trasą. Z trudem rozpoznawałem ośnieżony bulwar, ogołoczone drzewa, czarne fasady domów. Nie unosiła się już woń ligustru wzdłuż ogrodzenia parku Monceau, tylko zapach mokrej ziemi i zgnilizny.

Mieszkanie na parterze, w głębi ślepej uliczki. Pokój, do którego mnie wprowadziła, nie był umeblowany. Tylko tapczan, gdzie usiedliśmy i gdzie stał telefon. Kobieta około czterdziestki, tęga i ruda. Telefon dzwonił bez przerwy, ale ona odpowiadała tylko od czasu do czasu i wtedy zapisywała w notatniku to, co jej mówiono. Pokazałem klejnoty. Oferowałem klips i bransoletę z diamentami za połowę ceny, jeżeli zapłaci mi natychmiast gotówką. Zgodziła się.

Idąc już na stację metra Courcelles, myślałem o młodym człowieku, który przed paru miesiącami przyszedł do naszego pokoju w hotelu „Castille”. Bardzo szybko sprzedał szafir i dwie brosze i bardzo delikatnie zaproponował mi podział zysku. Porządny chłopak. Zwierzyłem się mu trochę, wspomniałem o planach wyjazdu, a nawet o tym lęku, który nieraz nie pozwalał mi wyjść na ulicę. Powiedział, że żyjemy w dziwnych czasach.

Następnie poszedłem po Denizę na placyk Edouard VIII, do mieszkania, gdzie Van Allen, jej znajomy Holender, założył salon krawiecki: mieścił się on na pierwszym piętrze, tuż nad barem „Cintra”. Pamiętam to, bo często bywaliśmy z Denizą w tym barze: była tam sala w suterenie, skąd można było wymknąć się tylnymi drzwiami. Wydaje mi się, że znałem wtedy wszystkie lokale publiczne, wszystkie domy w Paryżu, które miały po dwa wyjścia.

W tym miniaturowym salonie krawieckim panowało podobne zamieszanie jak na avenue Hoche, a może jeszcze większe. Van Allen przygotowywał kolekcję letnią i zdziwiło mnie tyle wysiłku, tyle optymizmu, gdy ja zastanawiałem się, czy w ogóle uda się nam dożyć do lata. Przymierzał czarnowłosej dziewczynie suknię z lekkiej białej tkaniny, a jednocześnie inne modelki wychodziły z kabin albo do nich wracały. Kilka osób naradzało się stojąc wokół biurka w stylu Ludwika XV, na którym rozrzucone były projekty i sztuki materiałów. Deniza rozmawiała w kącie salonu z blondynką lat około pięćdziesięciu i młodym człowiekiem o ciemnych kędzierzawych włosach. Włączyłem się do rozmowy. Tamci oboje zamierzali wyjechać na Lazurowe Wybrzeże. W ogólnej wrzawie nie można się było porozumieć. Krążyły kielichy szampana, nie bardzo wiadomo z jakiej okazji. Deniza i ja utorowaliśmy sobie przejście do przedpokoju. Odprowadzał nas Van Allen. Jeszcze teraz widzę jego niebieskie, bardzo jasne oczy i uśmiech, kiedy wysunął głowę przez uchylone drzwi i ręką przesłał nam całusa, życząc szczęścia.

Po raz ostatni przeszedłem z Denizą ulicą Cambacérès. Bagaże mieliśmy już spakowane, walizę i dwie skórzane torby ustawione przy dużym stole w głębi salonu. Deniza zamknęła okiennice i zaciągnęła fi-

ranki. Przykryła maszynę do szycia i zdjęła kawał białego płótna upięty szpilkami na manekinie. Myślałem o wieczorach, któreśmy tutaj przeżyli. Kroić według szablonów od Van Allena lub szyła, a ja leżąc na kanapie czytałem na głos jakieś pamiętniki albo powieść kryminalną z serii „z Maską”, którą ona tak lubiła. Te wieczory były jedynymi chwilami odprężenia, na jakie wtedy mogłem sobie pozwolić, jedynymi chwilami, kiedy jeszcze się łudziłem, że prowadzimy normalne życie w spokojnym świecie.

Otworzyłem walizę i wsunąłem paczki banknotów, które wypychały mi kieszenie, pomiędzy swetry i koszule oraz w parę butów. Deniza sprawdzała zawartość jednej z toreb podróżnych, bojąc się, że o czymś zapomnią. Poszedłem przez przedpokój do sypialni. Nie zapaliłem światła i stanąłem przy oknie. Śnieg wciąż padał. Policjant, pełniący wartę po przeciwnej stronie ulicy, schronił się w budce, którą postawiono przed paru dniami, bo zrobiło się zimno. Drugi policjant, idąc od placu des Saussaies, szybkim krokiem zbliżał się do budki. Uściśnął rękę kolegi, podał mu termos i obaj kolejno napili się z kubka.

Weszła Deniza. Stała koło mnie przy oknie. Miała na sobie futro. Przytuliła się do mnie. Pachniała ostrymi perfumami. Pod futrem nie miała nic prócz bielizny. Znaleźliśmy się na łóżku, gdzie pozostał już tylko materac.

Na Gare de Lyon czekali już przy wejściu na peron, z którego miał odjechać nasz pociąg, Gay Orłow i Freddie. Na wózku obok piętrzyły się walizy. Gay Orłow wzięła kufer-szafę. Freddie dyskutował z targażem i poczęstował go papierosem. Deniza i Gay Orłow rozmawiały; Deniza pytała, czy dom wynajęty przez Freddie'ego pomieści nas wszystkich. Na dworcu było ciemno, tylko peron, na którym staliśmy,

skąpany był w żółtym świetle. Podszedł do nas Wildmer, jak zwykle w płaszczu z wielbłądziej sierści który sięgał mu prawie do kostek. Na czoło nasunięty miał filcowy kapelusz. Kazaliśmy wnieść bagaże do naszych wagonów sypialnych. Na zapowiedź odjazdu czekaliśmy na zewnątrz, przed wagonem. Gay Orłow zobaczyła wśród pasażerów kogoś znajomego, kto także wsiadał do tego pociągu, ale Freddie prosił ją, aby z nikim nie rozmawiała i nie ściągała na nas niczyjej uwagi.

Przez chwilę jechałem z Denizą i Gay Orłow w ich przedziale. Stora była na wpół opuszczona, ale pochyliwszy się widziałem, że mijamy przedmieście. Śnieg wciąż padał. Ucałowałem Denizę i Gay Orłow i wróciłem do naszego przedziału, gdzie Freddie już się rozlokował. Wkrótce odwiedził nas Wildmer. Na razie był sam w przedziale i miał nadzieję, że już do końca podróży nikt się nie dosiadzie. Bał się, że może zostać rozpoznany, bo przed paru laty, kiedy uległ wypadkowi na torze wyścigowym w Auteuil, w prasie poświęconej hippice ukazało się sporo jego fotografii. Staraliśmy się go uspokoić mówiąc, że twarze dżokejów szybko idą w zapomnienie.

Freddie i ja położyliśmy się na swoich miejscach. Pociąg nabrał szybkości. Nie zgasiliśmy nocnych lampek, a Freddie nerwowo palił. Trochę się bał ewentualnych kontroli. Ja również, ale starałem się to ukryć. Freddie, Gay Orłow, Wildmer i ja mieliśmy dzięki Rubirosie paszporty Republiki Dominikany, ale nie byliśmy naprawdę pewni ich skuteczności. Powiedział mi to sam Rubi. Byliśmy na łasce policjanta albo gorliwszego od innych kontrolera. Tylko Deniza niczym nie ryzykowała. Była autentyczną Francuzką.

Pociąg zatrzymał się po raz pierwszy. Dijon. Śnieg tłumił słowa z głośnika. Usłyszeliśmy, że ktoś idzie korytarzem. Otwarto drzwi któregoś przedziału. Może tego, w którym jedzie Wildmer. Wtedy Freddie'ego i mnie napadł szaleńczy, nerwowy śmiech.

Pociąg stał pół godziny na dworcu w Chalon-sur-Saône. Freddie zasnął, a ja zgasilem lampkę w przedziale. Nie wiem dlaczego, ale w ciemności czułem się bezpieczniej. Próbowałem myśleć o czym innym, nie nasłuchiwać kroków z korytarza. Na peronie ludzie rozmawiali i chwytalem poszczególne wyrazy. Musieli stać pod naszym oknem. Jeden chrapliwie kaszłał. Drugi pogwizdywał. Miarowy huk przejeżdżającego pociągu zagłuszał ich słowa.

Nagle drzwi gwałtownie się otworzyły i w blasku z korytarza ostro zarysowała się sylwetka mężczyzny w płaszczu. Omiótł przedział od góry do dołu światłem latarki elektrycznej, aby sprawdzić, ilu nas jest. Freddie gwałtownie się poderwał.

— Proszę o dokumenty...

Podaliśmy nasze dominikańskie paszporty. Przejrzał je nieuważnym okiem i wręczył komuś stojącemu obok, kogo zasłaniały nam drzwi. Zamknąłem oczy. Wymienili parę niedosłyszalnych słów. Wszedł o krok dalej do przedziału. Miał w ręce nasze paszporty.

— Panowie są dyplomatami?

— Tak — odpowiedziałem machinalnie.

Po paru sekundach przypomniałem sobie, że Rubirosa wystawił nam paszporty dyplomatyczne.

Bez słowa zwrócił nam paszporty i zamknął drzwi za sobą.

Wstrzymaliśmy oddechy w ciemności. Milczeliśmy aż do chwili, gdy pociąg drgnął i ruszył. Usłyszałem śmiech Freddie'ego. Zapalił światło.

— Zajrzymy do naszych? — zaproponował.

W przedziale Denizy i Gay nie przeprowadzano kontroli. Obudziliśmy je. Nie rozumiały, dlaczego jesteśmy tak wzburzeni. Po chwili przyszedł do nas Wildmer z zaszępioną twarzą. Drżał jeszcze. Kiedy pokazał swój paszport, zapytano go, czy jest „dyplomatą dominikańskim”, ale on słowa nie mógł z siebie wydobyć, w strachu, że wśród policjantów w cywilu i kontrolerów znajdzie się jakiś amator wyścigów konnych i rozpozna go.

Pociąg sunął przez białe od śniegu pejzaż, łagodny i przyjazny. Na widok uśpionych domów poczułem upojenie i ufność, jakich nigdy dotąd nie doznawałem.

Było jeszcze ciemno, gdy przyjechaliśmy do Sallanches. Autokar i wielki czarny samochód stały przed dworcem. Freddie, Wildmer i ja nieśliśmy walizy, a dwaj ludzie zajęli się kufrem-szafą należącym do Gay Orłów. Zebrało się nas z dziesięcioro pasażerów; mieliśmy wsiąść do autokaru jadącego do Megève i kierowca z dwoma tragarzami układał walizy w tylnej części wozu, kiedy do Gay Orłów podszedł ów blondyn, którego poprzedniego dnia zauważyła na Gare de Lyon. Zamienili parę zdań po francusku. Później wyjaśniła nam, że była to przelotna znajomość, Rosjanin imieniem Kirył. Ów Kirył wskazał wielki czarny samochód, z kimś siedzącym przy kierowcy, i zaproponował, że nas odwiezie do Megève. Ale Freddie podziękował za zaproszenie, mówiąc, że woli jechać autokarem.

Śnieg padał. Autobus jechał powoli i czarny samochód go wyprzedził. Droga biegła pod górę i pułdło autokaru drżało przy każdej zmianie biegu. Zastanawiałem się, czy nie utkniemy w drodze przed Megève. Ale to nie miałyby już znaczenia. W miarę

jak ciemność cofała się przed białą wełnistą mgłą, poprzez którą ledwie majaczyły gałęzie świerków, powtarzałem sobie, że nikt nas tu nie będzie szukał. Nic nam nie grozi. Powoli stawaliśmy się niewidzialni. Nawet miejskie ubiory, które mogłyby zwrócić na nas uwagę — rudy płaszcz i granatowy kapelusz Wildmera, lamparcie futro Gay Orłow, płaszcz z wielbłądziej wełny, zielony szal i ciężkie czarno-białe buty do golfa Freddie'ego — wszystko rozpiywało się w mgle. Kto wie? Może w końcu ulotnimy się. Albo stanjemy się tylko tą parą, która osiadała na szybach, upartą parą, której nie można było zetrzeć ręką. W jaki sposób mógł się tu orientować kierowca? Deniza usnęła i jej głowa kołysała się na moim ramieniu.

Autokar zatrzymał się na środku placu przed merostwem. Freddie kazał załadować nasze bagaże na sanki, które już czekały, i poszliśmy napić się czegoś ciepłego w herbaciarni koło kościoła. Lokal właśnie otwarto i właścicielka, która nas obsłużyła, wydawała się zaskoczona, że przyjechalśmy tak wcześnie. A może uwagę jej zwrócił akcent Gay Orłow i nasze miejskie ubrania? Wildmer zachwycił się wszystkim. Nigdy nie był w górach i nie uprawiał zimowych sportów. Z czołem przyciśniętym do szyby, z otwartymi ustami patrzył, jak śnieg pada na pomnik poległych i na merostwo w Megève. Wypytywał właścicielkę, jak funkcjonują kolejki linowe i czy mógłby się zapisać na kurs narciarski.

Dom nazywał się „Krzyż Południa”. Był duży, zbudowany z ciemnego drzewa, z zielonymi okiennicami. Zdaje mi się, że Freddie wynajął go od kogoś ze swoich paryskich przyjaciół. Dominował nad jednym z zakrętów drogi, z której nie było go widać, bo stał za ścianą świerków. Od drogi prowadziła do niego

kręta ścieżka. Droga biegła dalej w górę, ale nie zainteresowałem się, dokąd. Nasz pokój, Denizy i mój, mieścił się na pierwszym piętrze i ponad świerkami mieliśmy widok na całe miasteczko Mégève. W pogodne dni nauczyłem się rozpoznawać dzwonnice kościelną, jasną plamę hotelu u stóp Rochebrune, dworzec autobusowy, ślizgawkę i cmentarz całkiem w dole. Freddie i Gay Orłów dostali pokój na parterze obok salonu, a do pokoju Wildmera trzeba było zejść jeszcze piętro niżej, bo znajdował się w suterenach i okno, a właściwie okienko, miał tuż przy ziemi. Ale Wildmer sam postanowił, że tam zamieszka — w swojej norze, jak mówił.

Z początku nie wychodziliśmy z domu. W nieskończoność graliśmy w karty w salonie. Dość dobrze zapamiętałem sobie ten pokój. Kilim na podłodze. Obita skórą ława, nad nią półka z książkami. Niski stół. Dwa okna wychodzące na balkon. Kobieta z sąsiedztwa zgodziła się załatwiać nasze sprawy w Mégève. Deniza czytała powieści kryminalne, które znalazła na półce. Ja również. Freddie zapuszczał brodę, a Gay Orłów co wieczora przyrządzała nam barszcz. Wildmer prosił, aby mu regularnie przynoszono z miasteczka „Paris-Sport”, i czytał zasztyty w swojej norze. Pewnego popołudnia, kiedy graliśmy w brydża, wpadł z przerażoną miną potrząsając tą gazetą. Jakiś kronikarz podsumowywał ważniejsze zdarzenia w świecie hippiki z ostatnich dziesięciu lat i między innymi opisywał „niezwykły wypadek, jakiemu uległ w Auteuil angielski dżokej Andrew Wildmer”. Artykuł ilustrowany był zdjęciami, a wśród nich mała fotografia Wildmera, mniejsza od znaczka pocztowego. Przestraszył się, że ktoś rozpoznał go na stacji w Sallanches albo w Mégève, w herbaciarni koło kościoła, a może osoba, która przynosiła nam

żywność i trochę zajmowała się gospodarstwem, zidentyfikowała go z „angielskim dżokejem Andrew Wildmerem”? A przecież tydzień przed naszym wyjazdem ktoś anonimowy zatelefonował do niego, na płacyk des Aliscamps; aksamitny głos powiedział: „Halo? Pan wciąż w Paryżu, Wildmer?” Po czym ten ktoś wybuchnął śmiechem i odłożył słuchawkę.

Na próżno perswadowaliśmy, że nic mu nie grozi, bo jest „obywatелеm dominikańskim”; był bardzo zdenerwowany.

Pewnej nocy około trzeciej nad ranem Freddie zaczął gwałtownie dobijać się do drzwi nory Wildmera wrzeszcząc: „Andrew Wildmer, wiemy, że pan tam jest... Wiemy, że jest pan angielskim dżokejem nazwiskiem Andrew Wildmer... Proszę natychmiast wyjść”...

Wildmer źle przyjął ten żart i przez dwa dni nie odezwał się ani słowem do Freddie’ego. Potem się pogodzili.

Poza tym błahym incydentem przez pierwsze dni życia w willi upływało bardzo spokojnie.

Z czasem Freddie’ego i Gay Orłów znudził nasz monotony tryb życia. Nawet Wildmer mimo obawy, że zostanie rozpoznany jako „angielski dżokej”, zaczął kręcić się po okolicy. Był sportsmenem i źle znosił bezczynność.

Freddie i Gay Orłów spotykali różnych ludzi na spacerach, na które wybierali się do Megève. Zdaje się, że niektórzy, podobnie jak my, szukali tutaj schronienia. Umawiali się, organizowali „przyjęcia”. Echa tego docierały do nas za pośrednictwem Freddie’ego, Gay Orłów i Wildmera, którzy wnet dali się wciągnąć w nocne życie; ja byłem nieufny. Woląłem zostawać w domu z Denizą.

Niekiedy jednak wybieraliśmy się do miasteczka. Wychodziliśmy z domu około dziesiątej rano i szliśmy drogą znaczoną małymi kapliczkami. Czasem wstępowaliśmy do jednej z nich i Deniza zapalała świeczkę. Niektóre były zamknięte. Szliśmy powoli, żeby nie pośliznąć się na śniegu.

Poniżej stał kamienny krzyż; wznosił się pośrodku pewnego rodzaju ronda, skąd brała początek bardzo stroma droga. Połowę jej szerokości zajmowały drewniane schody, teraz przysypane śniegiem. Szedłem przed Denizą, tak że mogłem ją podtrzymać, gdyby się ześliznęła. U końca drogi leżała wieś. Główną ulicą dochodziliśmy do placu, gdzie mieściło się merostwo, i mijaliśmy hotel „Mont-Blanc”, a nieco dalej, po prawej stronie ulicy, budynek poczty z szarego betonu. Stamtąd wysyłailiśmy listy do znajomych Denizy: do Leona, do Heleny, która odstąpiła nam swoje mieszkanie przy ulicy Cambacérès... Napisałem słówko do Rubirosy, aby go zawiadomić, że dzięki jego paszportom dojechaliśmy szczęśliwie, i radziłem mu, żeby do nas przyjechał, bo kiedy ostatnim razem widzieliśmy się w poselstwie, powiedział, że chętnie by „odetchnął na łonie natury”. Podałem mu nasz adres.

Wspinaliśmy się w kierunku Rochebrune. Ze wszystkich hoteli przy drodze wychodziły pod opieką instruktorek dzieci w granatowych ubraniach sportowych. Na ramieniu nosiły narty albo łyżwy. Przed paru miesiącami zarekwirowano bowiem hotele uzdrowiska, aby umieścić tam najuboższe dzieci z wielkich miast. Zawracając widzieliśmy z daleka ludzi tłoczących się przy kasie kolejki linowej.

Idąc od „Krzyża Południa” w górę stromą drogą między świerkami, dochodziło się do bardzo niskiego parterowego domu. Tam mieszkała kobieta, która za-

łatwiała nam sprawunki. Jej mąż miał parę krów i pilnował „Krzyża Południa” pod nieobecność właścicieli; urządził u siebie dość dużą salę ze stolikami, prymitywnym barem i bilardem. Pewnego popołudnia poszliśmy do niego z Denizą po mleko. Nie był dla nas zbyt uprzejmy, ale Deniza, zobaczywszy bilard, zapytała, czy mogłaby zagrać. Najpierw zdziwił się, ale potem złagodniał. Powiedział jej, że może przychodzić, kiedy zechce.

Bywaliśmy tam często wieczorami, gdy Freddie, Gay Orłow i Wildmer opuszczali nas, aby wziąć udział w towarzyskim życiu ówczesnego Megève. Proponowali, abyśmy spotkali się z nimi w „Equipe” czy w innym lokalu i „zabawili się z przyjaciółmi”, ale my woleliśmy piąć się na górę. Georges — tak nazywał się ten człowiek — i jego żona czekali na nas. Wydaje mi się, że bardzo nas polubili. Graliśmy w bilard z nim i paroma jego znajomkami. Najlepiej grała Deniza. Widzę ją dotąd, smukłą, z kijem bilaradowym w ręce, widzę jej łagodną azjatycką twarz, jasne oczy, ciemnoblond włosy z miedzianym połyskiem, sięgające bioder... Nosiła wtedy stary czerwony sweter, pożyczony od Freddie’ego.

Rozmawialiśmy do późnej nocy z Georges’em i jego żoną. Mówił, że któregoś dnia na pewno dojdzie do jakiejś rozróbki i kontroli dokumentów, bo wielu z tych, którzy zjechali do Megève, zanadto hula i zwraca na siebie uwagę. My jesteśmy inni. W razie czego jego żona i on zajmą się nami...

Deniza zwierzyła mi się, że Georges przypomina jej ojca. W kominku często palił się ogień. Godziny, łagodne i gorące, mijały, a my czuliśmy się jak w rodzinie.

Czasem, kiedy tamci już wyszli, zostawialiśmy sami w „Krzyżu Południa”. Dom należał do nas. Chciał-

bym jeszcze raz przeżyć niektóre jasne noce, kiedy w skupieniu patrzyliśmy na miasteczko w dole, ostro odcinające się na śniegu i podobne do miniaturowych miasteczek-zabawek, jakie na Boże Narodzenie widuje się na sklepowych wystawach. W te noce wszystko wydawało się proste i bezpieczne, marzyliśmy o przyszłości. Mogliśmy tu osiąść, nasze dzieci chodziłyby do wiejskiej szkoły, lato nadciągałoby przy wtórze dzwonek pasących się stad... Prowadzilibyśmy życie spokojne i bez niespodzianek.

W inne noce śnieg padał, a ja miałem wrażenie, że się duszę. Nigdy stąd nie wyjedziemy, ani Deniza, ani ja. Jesteśmy więźniami tej doliny i śnieg powoli nas zasypie. Trudno o coś bardziej przygnębiającego jak te góry zamykające horyzont. Ogarniała mnie panika. Otwierałem oszklone drzwi, wychodziliśmy na balkon. Oddychałem zimnym powietrzem, pachnącym świerkami. Przystawałem się bać. Przeciwnie, czułem jakiś spokój, jakiś łagodny smutek emanujący z krajobrazu. A co będzie z nami? Wydawało mi się, że echo naszych gestów i egzystencji ginie stłumione pod tą watą, która w małych kłaczkach opada na dzwonnice kościoła, na ślizgawkę i cmentarz, na ciemniejszą smugę, jaką rysowała się droga przez dolinę.

A potem Gay Orłow i Freddie zaczęli do siebie zapraszać gości na wieczór. Wildmer nie bał się już, że zostanie rozpoznany, i okazał się niezwykle błyskotliwym wesołkiem tego grona. Przychodziło ich dziesięcioro, czasem więcej, niespodzianie, koło północy i zabawa, zaczęta w innej willi, u nas w najlepsze ciągnęła się dalej. Deniza i ja unikaliśmy tego towarzystwa, ale Freddie tak miło prosił, abyśmy zostali, że czasem ulegaliśmy.

Widzę jeszcze dziś, choć niewyraźnie, niektóre z

tych osób. Żwawy brunet, który nieustannie proponował partyjkę pokera i jeździł samochodem z luksemburską rejestracją; to znowu „André-Karl”, blondyn w czerwonym swetrze, z twarzą ogorzałą w długodystansowych biegach narciarskich; inny typ, istny atleta, wystrojony w czarny welwet, krąży w mojej pamięci jak wielki trzmiel... I piękne sportsmenki, a wśród nich „Jacqueline” i „pani Campan”.

Zdarzało się, że w pełni zabawy nagle gaszono światło w salonie albo jakaś para znikła w jednym z pokoi.

A wreszcie Kirył, którego Gay Orłow spotkała na stacji w Sallanches i który proponował, żebyśmy pojechali jego samochodem... Rosjanin żonaty z bardzo ładną Francuzką. Zdaje mi się, że handlował farbami i aluminium. Często od nas telefonował do Paryża, toteż wiele razy mówiłem Freddie'emu, że te rozmowy ściągają na nas uwagę, ale Freddie, podobnie jak Wildmer, nie zachowywał już żadnej ostrożności.

Ów Kirył i jego żona przyprowadzili pewnego wieczora do naszej willi Boba Bessona i niejakiego Olega de Wrédé. Besson był instruktorem narciarskim i miewał na swoich kursach różne sławy. Uprawiał skoki; niefortunne upadki pozoczyły mu twarz bliznami. Lekko utykał. Był niski, ciemnowłosy, pochodził z Megève. Pił, co nie przeszkadzało mu jeździć na nartach od ósmej rano. Był nie tylko instruktorem narciarskim, ale również pracował w miejskim urzędzie zaopatrzenia i miał do dyspozycji samochód, duży, czarny, który zauważyłem, gdy przyjechaliśmy do Sallanches. Wrédé, którego Gay Orłow spotykała już w Paryżu, często przyjeżdżał do Megève. Zdaje się, że robił jakieś podejrzanе interesy, kupował i

sprzedawał opony samochodowe i części zamienne, bo on również telefonował od nas do Paryża i, jak słyszałem, zawsze wzywał jakieś tajemnicze „Garaże Kometa”.

Dlaczego wtedy wieczorem zacząłem rozmowę z Wrédem? Może dlatego, że robił sympatyczne wrażenie. Miał szczere spojrzenie i minę radośnie naiwną. Śmiał się z byle powodu. I ta troskliwość, z jaką nieustannie pytał: „Czy dobrze się pan czuje? Czy nie napiłby się pan czegoś? Czy nie wolałby pan usiąść na kanapce zamiast na krześle? Czy dobrze się panu dzisiaj spało?...” Z okrągłymi oczyma, zmarszczonym czołem zdawał się chłonać słowa rozmówcy, jak gdyby słuchał wyroczni.

Zorientował się, w jakiej jesteśmy sytuacji, i po bardzo krótkim czasie zapytał mnie, czy długo zamierzamy zostać „w tych górach”. Kiedy odpowiedziałem, że nie mamy wyboru, szepnął, że zna sposób nielegalnego przekroczenia granicy szwajcarskiej. Czy mnie by to interesowało?

Wahałem się przez chwilę, po czym powiedziałem, że tak.

Wyjaśnił, że trzeba liczyć po 50 000 franków od osoby i że Besson bierze w tym udział. Besson i on podjęliby się doprowadzić nas do punktu przy granicy, gdzie zajmie się nami doświadczony, a zaprzyjaźniony z nimi przewodnik. Przerzucili tak z dziesięć osób, których nazwiska mi wymienił. Będę miał czas do namysłu. On wyjeżdża do Paryża, ale wróci w przyszłym tygodniu. Podał mi swój paryski telefon: AU Teuil 54-73, gdzie mogę zadzwonić, gdybym się musiał nagle zdecydować.

Powiedziałem o tym Gay Orłow, Freddie’emu i Wildmerowi. Gay Orłow zdziwiła się, że Wrédé zaj-

muje się przerzucaniem ludzi przez granicę, jej wydawał się lekkomyślnym młodym człowiekiem, marnie żyjącym z jakichś transakcji. Freddie sądził, że nie ma potrzeby wyjeżdżać z Francji, skoro dominikańskie paszporty zapewniają nam bezpieczeństwo. Wildmer twierdził, że Wrédé to „wstrętny żigolak”, a jeszcze bardziej nie podobał mu się Besson. Utrzymywał, że blizny na twarzy Bessona są fałszywe, że sam co rano robi je sobie przy pomocy makijażu. Czy był to antagonizm między sportowcami? Nie, on naprawdę nie cierpiał Bessona, którego nazywał Szmaciarzem. Zdaniem Denizy Wrédé był „sympatyczny”.

Rzecz rozstrzygnęła się bardzo szybko. Sprawił to śnieg. Od tygodnia padał bez przerwy. Wrażenie, że się duszę, które nękało mnie już w Paryżu, znowu mnie prześladowało. Byłem przekonany, że jeżeli tu dłużej zostanę, znajdziemy się w pułapce. Powiedziałem to Denizie.

Wrédé wrócił po tygodniu. Doszliśmy do porozumienia i rozmawialiśmy o przekroczeniu granicy z nim i z Bessonem. Nigdy jeszcze Wrédé nie wydał mi się tak serdeczny, tak godny zaufania. Przyjacielski sposób klepania po ramieniu, jasne oczy, białe zęby, usłużność — wszystko to podobało mi się, chociaż Gay Orłow często ze śmiechem mi powtarzała, że z Rosjanami i Polakami trzeba być ostrożnym.

Tego ranka bardzo wcześnie oboje z Denizą domknęliśmy nasze bagaże. Inni jeszcze spali; nie chcieliśmy ich budzić. Napisałem parę słów do Freddie'ego.

Oczekiwali nas na poboczu drogi, w czarnym wozie Bessona, który widziałem już w Sallanches. Wrédé siedział przy kierownicy, Besson obok niego. Sam

otworzyłem bagażnik, aby ułożyć nasze rzeczy, i wraz z Denizą siedliśmy z tyłu.

Przez całą drogę milczeliśmy. Wrédé wyglądał na zdenerwowanego.

Śnieg padał. Wrédé prowadził wóz powoli. Jechaliśmy wąskimi górskimi drózkami; trwało to dwie godziny.

Jakieś niejasne przecucie zaświtało mi dopiero w chwili, gdy Wrédé zatrzymał samochód i zażądał ode mnie pieniędzy. Podałem mu paczki banknotów. Policzył je. Potem odwrócił się i uśmiechnął do mnie. Powiedział, że teraz, dla bezpieczeństwa, rozdzielimy się na czas przekraczania granicy. Ja wyruszę z Bessonem, on z Denizą i bagażami. Spotkamy się za godzinę u jego znajomych po tamtej stronie... Wciąż się uśmiechał. Dziwnym uśmiechem, który widuję jeszcze w snach.

Wysiadłem z Bessonem. Deniza zajęła miejsce obok Wrédého. Patrzyłem na nią i znowu złe przecucie ścisnęło mi serce. Chciałem otworzyć drzwiczki i powiedzieć, żeby wysiadła, żebyśmy poszli razem. Ale pomyślałem, że jestem z natury bardzo nieufny i wyobrażam sobie niestworzone rzeczy. Deniza wydawała się pełna ufności, w dobrym nastroju. Ręką przesłała mi pocałunek.

Tego dnia ubrana była w futro ze skunksów, pulower i spodnie narciarskie pożyczone od Freddie'ego. Miała dwadzieścia sześć lat, ciemnoblond włosy, zielone oczy, metr sześćdziesiąt pięć wzrostu. Bagaż wzięliśmy niewielki: dwie skórzane torby i małą brązową walizkę.

Wrédé ruszył, wciąż uśmiechnięty. Dałem znak ręką Denizie, która wychyliła głowę przez opuszczoną szybę. Odprowadziłem wzrokiem oddalający się samochód. Stał się już tylko małym czarnym punktem.

Zacząłem iść za Bessonem. Patrzyłem na jego ple-

cy i na ślad kroków na śniegu. Nagle powiedział, że pójdzie na zwiady, bo zbliżamy się do granicy. Prosił, żebym na niego zaczekał.

Po dziesięciu minutach zrozumiałem, że nie wróci. Jak mogłem wciągnąć Denizę w tę pułapkę? Ze wszystkich sił starałem się odpędzić myśl, że Wrédę ją również zostawi samą i że oboje zginiemy bez śladu.

Śnieg wciąż padał. Poszedłem dalej, na próżno szukając jakiegoś punktu orientacyjnego. Szedłem wiele godzin. Wreszcie położyłem się w śniegu. Do koła mnie była tylko biel.

XXXVIII

Wsiadłem z pociągu w Sallanches. Świeciło słońce. Na placu dworcowym czekał autokar z nie wyłączonym silnikiem. Jedyna taksówka, DS 19, stała zaparkowana równolegle do chodnika. Wsiadłem.

— Do Megève — powiedziałem do kierowcy.

Ruszył. Miał około sześćdziesiątki, szpakowate włosy, kurtkę z wytartym futrzanym kołnierzem. Ssał cukierek albo pastylkę.

— Ładna pogoda, co? — zagadnął.

— Bardzo ładna...

Patrzyłem przez szybę i starałem się rozpoznać drogę, którą jechaliśmy wtedy, ale teraz wyglądała zupełnie inaczej. Słońce na świerkach i łąkach, sklepienie z gałęzi drzew nad drogą, wszystkie te odcienie zieloności zbijały mnie z tropu.

— Nie mogę poznać tej okolicy — powiedziałem do kierowcy.

— Pan już tutaj kiedyś bywał?

— Tak, bardzo dawno... i wtedy leżał śnieg.

— W śniegu to wygląda inaczej.

Wyjął z kieszeni okrągłe blaszane pudełeczko i wy-
ciągnął je do mnie.

— Może pozwoli pan jedną „Valdę”?

— Dziękuję.

On również wziął pastylkę.

— Od tygodnia rzuciłem palenie... Doktor poradził
mi smoktać „Valdę”... Czy pan pali?

— Ja także przestałem... Niech mi pan powie...

Pan pochodzi z Megève?

— Tak, proszę pana.

— Znałem w Megève trochę ludzi... Chętnie bym
się dowiedział, co się z nimi dzieje... Znałem na
przykład faceta, który nazywał się Bob Besson...

Zwolnił i odwrócił się do mnie.

— Robert? Ten instruktor?

— Tak.

Pokręcił głową.

— Chodziłem z nim do szkoły.

— Co się z nim dzieje?

— Nie żyje. Parę lat temu zabił się na skoczni.

— Ach tak...

— Mógł lepiej sobą pokierować... Ale... Znał go
pan?

— Nie bardzo.

— Robertowi w bardzo wczesnej młodości prze-
wróciło się w głowie przez tych jego klientów...

Otworzył blaszane pudełeczko i znów włożył do
ust pastylkę.

— Skoczył i zabił się na miejscu.

Autokar jechał za nami w odległości około dwu-
dziestu metrów. Błękitny autokar.

— Był zaprzyjaźniony z jakimś Rosjaninem, praw-
da? — zapytałem.

— Z Rosjaninem? Besson zaprzyjaźniony z Rosja-
ninem?

Nie rozumiał, o co mi chodzi.

— Wie pan, Besson to był naprawdę typ nieciekawych. Miał niedobry charakter...

Zrozumiałem, że nic mi już o Bessonie nie powie.

— Zna pan willę w Megève, która nazywa się „Krzyż Południa”?

— „Krzyż Południa”?... Tutaj dużo domów nosi taką nazwę...

Znowu podsunął mi pudełeczko z pastylkami. Wziąłem jedną.

— Ta willa stała nad jakąś drogą — powiedziałem.

— Nad jaką drogą?

Właśnie: nad jaką drogą? Nad tą, która w moim wspomnieniu podobna była do wszystkich górskich dróg. Jak ją odszukać? Może dom już nie istnieje... A jeżeli nawet istnieje...

Nachyliłem się do kierowcy. Podbródkiem otarłem się o kołnierz jego kurtki.

— Niech mnie pan odwiezie z powrotem na stację w Sallanches — powiedziałem.

Odwrócił się do mnie. Był zdziwiony.

— Jak pan sobie życzy.

XXXIX

Dotyczy: Howard de Luz Alfred Jean.

Urodzony w Port-Louis (wyspa Mauritius) 30 lipca 1912; rodzice: Howard de Luz Joseph Simety i Louise z domu Fouquereaux.

Obywatelstwo: angielskie (i amerykańskie).

Kolejne adresy:

Château Saint-Lazare w Valbreusè (Orne)

ul. Raynouard 23, Paryż XVI

hotel „Chateaubriand”, ul. du Cirque 18, Paryż VIII
avenue Montaigne 53, Paryż VIII

avenue du Maréchal-Lyautey, Paryż XVI.

Howard de Luz Alfred Jean nie miał w Paryżu ściśle określonego zawodu.

W latach 1934—1939 zajmował się wyszukiwaniem i nabywaniem antycznych mebli w imieniu Greka zamieszkałego we Francji, nazwiskiem Jimmy Stern, i w związku z tym odbył długą podróż po Stanach Zjednoczonych, skąd pochodziła jego babka.

Wydaje się, że Howard de Luz, chociaż pochodził z rodziny francuskiej z wyspy Mauritius, miał podwójne obywatelstwo, angielskie i amerykańskie.

W 1950 opuścił Francję i osiedlił się w Polinezji na wyspie Padipi, w pobliżu Bora Bora (Wyspy Towarzystwa).

Do notatki dołączony był następujący list:

Szanowny panie! Proszę mi wybaczyć, że tak długo nie przekazywałem informacji o p. Howardzie de Luz, jakie udało się nam uzyskać. Zdobyliśmy je z wielkim trudem, bo p. Howard de Luz miał obywatelstwo brytyjskie (albo amerykańskie) i w naszych urzędach nie pozostało po nim żadnych śladów.

Wyrazy serdecznej pamięci dla pana i dla Huttego —
J.P. Bernardy

XL

Drogi Hutte! W przyszłym tygodniu opuszczam Paryż i udaję się na jedną z wysp Pacyfiku, gdzie może uda mi się odszukać człowieka, od którego dowiem się, jakie było moje życie. Jest to przyjaciel z młodych lat.

Dotychczas wszystko wydawało mi się tak chaotyczne, tak urywkowe... Fragmenty, strzępy czegoś wracały do mnie w miarę poszukiwań... Ale może właśnie to jest życie...

Czy tu naprawdę chodzi o moje życie? Czy nie jest to życie innego człowieka, w które ja się wśliznąłem?

Napiszę stamtąd do pana.

Mam nadzieję, że pańskie sprawy w Nicei pomyślnie

się układają i że otrzymał pan upragnioną posadę bibliotekarza w miejscu, z którym wiążą się wspomnienia pańskiego dzieciństwa.

- XLI

AUTEuil 54-73; „Garaże Kometa” — ul. Foucault 5, Paryż XVI.

XLII

Ulica kończy się przy skwerze, przed ogrodami Trocadéro, i chyba na tej właśnie ulicy mieszka Waldo Blunt, amerykański pianista, pierwszy mąż Gay Orłowa, którego raz odprowadziłem do domu.

Garaż dawno już zlikwidowano, o czym zdawała się świadczyć wielka żelazna zardzewiała brama. Nad nią, na szarym murze, można jeszcze odczytać, chociaż niebieskie litery na w pół się zatarły: „Garaże Kometa”.

Na pierwszym piętrze po prawej okno z opuszczoną storą pomarańczowego koloru. Okno pokoju czy biura? Czy w tym pokoju znajdował się Wrédé, gdy telefonowałem do niego z Megève na AUTEuil 54-73? Jakie funkcje pełnił w „Garażach Kometa”? Jak się tego dowiedzieć? Przed tym opuszczonym budynkiem wszystko wydawało się tak odległe...

Zawróciłem i przez chwilę stałem na skwerze. Patrzyłem na przejeżdżające samochody i na światła po drugiej stronie Sekwany w okolicy Pola Marsowego. Coś z mojego życia przetrwało może tam, w małym mieszkaniu na skraju ogrodów, istota, która mnie znała i jeszcze mnie pamięta.

Kobieta stoi przy jednym z okien na parterze, u zbiegu ulic Rude i de Saïgon. Świeci słońce; trochę dalej na chodniku dzieci bawią się piłką. Nieustannie wołają: „Pedro”!, bo jedno z nich nosi to imię; wykrzykują je nie przerywając zabawy. I owo „Pedro” powtarzane dźwięcznymi głosami, dziwnie brzmi na tej ulicy.

Kobieta ze swojego okna nie widzi bawiących się dzieci. Pedro. Znała przed laty kogoś, kto tak się nazywał. Docierają do niej okrzyki, śmiechy i głuchy odgłos piłki odskakującej od ściany, a ona usiłuje sobie przypomnieć, kiedy to było. Ależ tak! Pracowała wtedy jako modelka u Alexa Maguy. Poznała tam Denizę, złotawą blondynkę o trochę azjatyckiej twarzy, która także była z branży krawieckiej. Od pierwszego wejrzenia poczuły do siebie sympatię.

Deniza żyła z człowiekiem, który nazywał się Pedro. Na pewno pochodził z Ameryki Południowej. Przypomniała sobie nawet, że ten Pedro pracował w jakimś poselstwie. Wysoki brunet, jego twarz rysuje się jej dość wyraźnie. Jeszcze dziś by go poznała, chociaż musiał się postarzeć.

Pewnego wieczora oboje przyszli do niej tutaj, na ulicę de Saïgon. Zaprosiła wtedy parę znajomych osób na kolację. Był japoński aktor i jego żona o włosach blond z różowawym odcieniem, którzy mieszkali w pobliżu, przy ulicy Chalgrin, dalej Evelyne, brunetka, którą poznała u Alexa Maguy, w towarzystwie bladego młodzieńca, ktoś jeszcze, kogo nie może sobie przypomnieć, i Jean-Claude, Belg, który się do niej zalecał... Kolacja była bardzo wesoła. Pomyślała wtedy, że Deniza i Pedro tworzą piękną parę.

Jeden z chłopców chwyta piłkę w locie, przyciska

ją do siebie i wielkimi krokami oddala się od reszty. Kobieta widzi, jak przebiega pod jej oknem. Zdyszany wypada na avenue de la Grande-Armée. Przecina ją, wciąż trzymając piłkę. Inne dzieci nie mają odwagi biec za nim, stoją bez ruchu, patrzą na chłopca biegnącego po przeciwległym chodniku. Teraz podbija piłkę nogą. W słońcu połyskują chromowane części rowerów na wystawach sklepów sportowych, które szeregami ciągną się wzdłuż alei.

Zapomniał o towarzyszach. Biegnie sam z piłką posuwając ją lekkimi kopnięciami i skręca w prawo, w ulicę Anatole-de-la-Forge.

XLIV

Przytknąłem czoło do iluminatora. Na pokładzie dwaj mężczyźni rozmawiając przechadzali się tam i z powrotem, a światło księżycy nadawało ich twarzom szary koloryt. W końcu oparli się o reling.

Nie mogłem usnąć, chociaż morze już się uspokoiło. Przeglądałem kolejno fotografie nas wszystkich — Denizy, Freddie’ego, Gay Orłow — i w miarę jak statek odbywał swoją drogę, oni z wolna stawali się nierealni. Czy w ogóle kiedykolwiek istnieli? Przypomniałem sobie, co mi mówiono o poczynaniach Freddie’ego w Ameryce. Był „osobistym sekretarzem Johna Gilberta”. Te słowa wywoływały w mojej wyobraźni pewien obraz: dwaj mężczyźni spacerują beztrąsko po zaniedbanym ogrodzie przy willi, wzdłuż kortu tenisowego, zasypanego zeschniętymi liśćmi i połamanymi gałęziami; wyższy z nich — Freddie — nachyla się ku drugiemu, który widocznie mówi coś po cichu, a jest to oczywiście John Gilbert.

Po jakimś czasie w wąskich korytarzach biegnących wzdłuż statku usłyszałem jakieś przepychanie

się, okrzyki i śmiechy. Wyrrywano sobie trąbkę, żeby zagrać na niej pierwsze takty: „Sam wdzięk i czar to moja blondyneczka”... Trzasnęły drzwi kabiny sąsiadującej z moją. Musiało tam być sporo osób... Nastąpiły nowe wybuchy śmiechu, brzęk zderzających się kieliszków, przyspieszone oddechy, łagodny, przeciągły jęk...

Ktoś krążył po korytarzach potrząsając małym dzwonkiem i powtarzając wątłym głosem małego ministranta, że przekroczyliśmy równik.

XLV

Przed nami rozsypywały się czerwone latarnie; najpierw zdawały się unosić w powietrzu, po czym okazywało się, że biegną linią wybrzeża. Rysowały się góry z ciemnoniebieskiego jedwabiu. Gdy minęliśmy przybrzeżne skały, morze uspokoiło się.

Wpływaliśmy na redę w Papeete.

XLVI

Skierowano mnie do niejakiego Fribourga. Od trzydziestu lat mieszkał w Bora Bora i kręcił filmy dokumentalne o wyspach Pacyfiku, prezentując je zazwyczaj w Paryżu, w sali Pleyela. Był jednym z ludzi najlepiej znających Oceanię.

Nie musiałem nawet pokazywać mu fotografii Freddie'ego. Spotykał go wielokrotnie, gdy przybijał do wyspy Padipi. Opisywał mi go jako mężczyznę liczącego blisko dwa metry wzrostu; nie opuszczał swojej wyspy, chyba że samotnie, na własnym statku, szkunerze, na którym odbywał długie wyprawy wzdłuż atoli Tuamotu; docierał nawet na Markizy.

Fribourg zaproponował, że zawiezie mnie na Padiipi. Wsiedliśmy na coś w rodzaju statku rybackiego. Towarzyszył nam opasły Maorys, na krok nie odstępujący Fribourga. Myślę, że żyli z sobą. Dziwna para, ten drobny człowiek o wyglądzie eks-zastępowego skautów, w wytartych szortach i w koszulce, z okularami w metalowej oprawie na nosie, i gruby miedzianoskóry Maorys w *pareo* i błękitnym bawełnianym kaftaniku. W czasie podróży opowiadał mi łagodnym głosem, że jako młody chłopiec grywał w futbol z Alainem Gerbault.

XLVII

Na wyspie poszliśmy darniową aleją, obsadzoną palmami kokosowymi i chlebowcami. Gdzieniedzie biały niski mur znaczył granice ogrodu, pośrodku którego wznosił się dom — zawsze taki sam — z werandą i blaszanym dachem pomalowanym na zielono.

Wyszliśmy na wielką łąkę ogrodzoną drutem-kolczastym. Z lewej strony zamykała ją grupa hangarów; wśród nich dwupiętrowy dom w kolorze piaskowo-różowym. Fribourg wyjaśnił mi, że jest to dawne lotnisko zbudowane przez Amerykanów podczas walk na Pacyfiku i że tutaj mieszka Freddie.

Weszliśmy do dwupiętrowego budynku. Na parterze pokój, a w nim łóżko z moskitierą, biurko, wyplatany fotel. Drzwi prowadziły do prymitywnej łazienki.

Na pierwszym i drugim piętrze pokoje stały pustką, w oknach brakowało szyb. Trochę gruzu na korytarzach. Na jednej ze ścian pozostawiono wojskową mapę Południowego Pacyfiku.

Powróciliśmy do pokoju, w którym prawdopodobnie mieszkał Freddie. Brązowo opierzone ptaki wcis-

kały się przez uchylone okno i gęstymi rzędami ob-
siadały łóżko, biurko i półkę z książkami stojącą koło
drzwi. Przybywało ich z każdą chwilą. Fribourg po-
wiedział mi, że to kosy z Moluków, które pożerają
wszystko, papier, drzewo, nawet ściany domów.

Jakis człowiek wszedł do pokoju. Ubrany był
w *pareo* i miał siwą brodę. Przemówił do trzecie-
go Maorysa, który wciąż towarzyszył Fribourgowi jak
cień, a grubas, lekko się kołysząc, przetłumaczył jego
słowa. Mniej więcej przed dwoma tygodniami szkuner,
na którym Freddie zamierzał dotrzeć do Markizów,
powrócił i osiadł na rafach koralowych wyspy, ale
Freddie'ego na pokładzie nie było.

Zapytał, czy chcemy zobaczyć statek, i zaprowa-
dził nas na brzeg laguny. Stał tam szkuner ze strzas-
kanym masztem; po bokach dla ochrony umocowano
stare opony samochodowe.

Fribourg oświadczył, że po powrocie zażądamy,
aby wszczęto poszukiwania. Gruby Maorys w bla-
doniebieskim kaftaniku bardzo piskliwym głosem
rozmawiał z brodatym starcem. Brzmiało to jak krót-
kie okrzyki. Po chwili zupełnie już nie zwracałem
na nich uwagi.

Nie wiem, jak długo stałem na brzegu laguny.
Myślałem o Freddie'm. Nie, na pewno nie zginął na
morzu. Na pewno postanowił przeciąć ostatnie liny
kotwiczne i ukrył się na którejś z wysp koralowych.
Ale ja go odnajdę. Poza tym czeka mnie ostatnia
próba: muszę pojechać do Rzymu pod mój dawny
adres, na ulicę Delle Botteghe Oscure 2 — ulicę
Ciemnych Sklepików...

Zapadł wieczór. Laguna wygasła powoli, w miarę
jak bladła jej zieleń. Po wodzie przebiegały jeszcze
fosforyzującą falą szaroliliowe cienie.

Bezwiednie wyjąłem z kieszeni nasze fotografie,
które chciałem pokazać Freddie'emu, a wśród nich

zdjęcie Gay Orłow jako małej dziewczynki. Do tej chwili nie zauważyłem, że jest tam zapłakana. Zdradzały to zmarszczone brwi. Na chwilę przeniosłem się myślą daleko od tej laguny, na drugi koniec świata, do zdrojowiska w południowej Rosji, gdzie dawno temu zrobiono to zdjęcie. Mała dziewczynka wraca z matką o zmierzchu z plaży. Płacze z blahego powodu, chciała się dłużej pobawić. Oddała się. Skreśliła już za róg ulicy... Czyż nasze egzystencje nie rozwiąły się równie szybko w ciemności wieczoru, jak ten dziecinny smutek?